

Dziesięć lat tułaczki

1935 - 1945

*Wspomnienia i zapiski
Janiny i Zbigniewa Broszów*

Łupawa 1 stycznia 2012 r.

Słowo wstępne

Notatki Rodziców docierały do mnie w różnym czasie. Pamiętnik Mamy i Taty opis pierwszych mieszkań dostałem z dokumentami Rodziców po śmierci Mamy. Przejrzałem i odłożyłem.

Wspomnienia Taty z ostatnich dni pobytu w Palmirach i pierwszych, po powrocie na Bielany, przekazała mi siostra Hanna kilkanaście dni temu. Przeczytałem, zrobiły na mnie duże wrażenie. Rodzice opowiadali o czasach wojny, ale nigdy tak drastycznie, nie znaleźmy tragicznych wydarzeń w których uczestniczyli Oni i najstarsza trójka : Kika, Hanka i Jurek.

Postanowiłem udostępnić wspomnienia Rodziców – Rodzeństwu, naszym dzieciom, wnukom ..., po pierwsze, aby wypełnić przesłanie Taty, zawarte we Wstępie, że „Może kiedyś nasze dzieci przeglądając te zapiski dowiedzą się jakiegoś nieprzekazanego przez ustną tradycję przejścia lub przeżycia, to lub owo zrozumieją, oświecą sobie, przypomną, a może też czegoś się przy okazji nauczą.”, po drugie, aby ci, którzy znają okresy: międzywojenny i wojny z książek i filmów, poznali ich prawdziwe, okrutne oblicze dzięki tragicznym losom naszych najbliższych: Rodziców, Rodzeństwa, Dziadków...

Tato miał trudny charakter, również pisma i odczytanie Jego notatek wymagało nieco wysiłku i sporej wyobraźni. Stosował bowiem niekiedy nie dzisiejszą składnię, interpunkcję i słownictwo. Przepisując teksty starałem się zachować oryginalny zapis.

----- „ -----

Przekazując notatki Rodziców, załączam krótkie wyjaśnienie spraw rodzinnych i chronologię zdarzeń, w oparciu o posiadane dokumenty rodzinne.



Tu się poznali.

Rodzice: Janina /Nina, Nana, Nanka/ z d. Charczun i Zbigniew /Zbyszek, Zbych/ Brosz –poznali się i zakochali- w Gimnazjum w Bielsku Podlaskim.

Pobrali się w Białymstoku 17.07.1934r. i do 4.04.1935r. zajmowali pokój w mieszkaniu rodziców Taty przy ul. Sto Jańskiej 18/6



Świadectwo ślubu.

Oboje studiowali na Uniwersytecie Warszawskim, Tato prawo, które ukończył w 1937r. Mama romanistykę którą przerwała na poziomie absolutorium w 1935r.



17.07.1934r.

W trakcie i po studiach Tato pracował w sądownictwie jako komornik sądowy, sekretarz sądu, aplikant sądowy czy aplikant adwokacki. W 1943r. zdał egzamin sędziowski i przystąpił do egzaminu adwokackiego.



1934r.

5.04.1935r. Rodzice przeprowadzili się do Warszawy. Szukając mieszkania czasowo „zainstalowali” się wynajmując „mieszkanie” u p.Julii Mokryjewicz w Al. Jerozolimskich 11. 2.05.1935r. zamieszkali na ul. Kruczej 4, gdzie przebywali do 31.03.1936r. kiedy to przenieśli się do mieszkania na ul. Krasińskiego 18/67.



1935r.

14.10.1938r. przeprowadzili się do Zielonki na ul. Prostą 14/2. Tam 5.02.1939r. urodziła się Kika./Krystyna/. 2.10.1939r. Rodzice z Kiką wrócili do Warszawy zatrzymując się do 27.06.1940r. u Marii, Zofii i Wacława Chrostowskich na ul. Targowej 19/36.

Dzięki gościnności OO Marianów, 28.06.1940r. przenieśli się na Bielany do pokamedulskiego eremu na ul. Kamedulów 81. Tam 6.07.1941r. urodziła się Hanka /Hanna/ a 26.01.1944r. – Jurek. Tam przeżyli zarówno chwile szczęścia i radości, ale też bombardowania, ostrzały, zburzony dom i zasypanie w piwnicy, a wreszcie 23.09.1944r. wygnanie do Palmir, gdzie po drodze, Tato został zabrany do obozu w Burakowie, a następnie w Nowym Dworze, skąd po udanej ucieczce dołączył do Mamy i trójki dzieci w Palmirach.

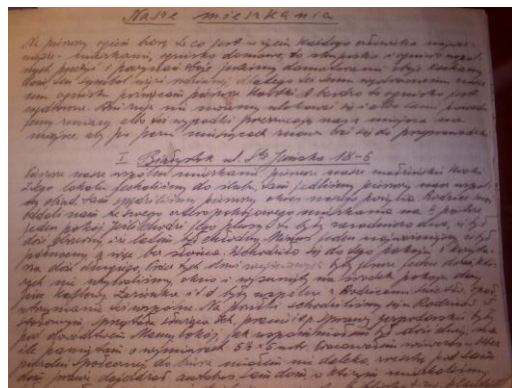
Po tragicznych doświadczeniach, 19.01.1945r. wszyscy opuścili Palmiry i 20.01.1945r. szczęśliwie dotarli do zniszczonego i rozszabrowanego domku na Bielanach.

26.04.1945r. cała rodzina wyjechała do Białobrzeg, gdzie Tato objął stanowisko sędziego S. Grodzkiego, ale już 18.09.1945r. przyjechała do Słupska. Tu 7.03.1949r. urodził się Andrzej. Rodzina mieszkała kolejno na ul. ul.; Bacha 1 /Starzyńskiego/, Rapackiego 17 /Wyspiańskiego/, Piastów 13, Dworcowej 38/2 /Wojska Polskiego/. Mama po śmierci Taty mieszkała na ul Sobieskiego 9.

Zainteresowanych szczegółami, zapraszam do zapoznania się z posiadanymi przeze mnie dokumentami rodzinnymi.

Jurek A. Brosz
Łupawa 1.01.2012r.

Pierwsze mieszkania Rodziców 1934-1936 – wspomnienia Taty



Rękopis wspomnień.

Wstęp

Nie piszemy pamiętników ani wspomnień, ale czasem bierze chęćka przenieść na papier to, co się przeżywa, aby później, kiedyś, może o siwych włosach, przeglądając kartki tych rzutów, przypomnieć sobie jeśli już nie codzienne zjawiska i przeżycia to chociaż jakieś fragmenty tego dziś i wczoraj naszego. Może, może kiedyś nasze dzieci przeglądając te zapiski dowiedzą się jakiegoś nie przekazanego przez ustną tradycję naszego przejścia lub przeżycia, to lub owo zrozumieją, oświecą sobie, przypomną, a może też czegoś się przy okazji nauczą. Dlatego właśnie zapoczątkowuję tę pracę, jak się ona daleko posunie nie wiem. Mam myśl taką, aby różne fragmenty z naszego życia ująć w pewne, że tak powiem „kategorie”, w pewne grupy. Po doprowadzeniu danej grupy do chwili obecnej, prowadzić ją chciałbym nadal, tworząc w ten sposób pewną ciągłość. Za punkt wyjścia obieram sobie zasadniczo datę naszego ślubu i od tej daty wyprowadzać chcę to wszystko co się do nas, jako do całości odnosi i skąd się wszystko bierze i brało. Słowem, chciałbym, aby w ten sposób powstała księga ewolucji naszej rodziny. Ciekawym jakie da to rezultaty i co się z tego wyłoni. Bardzo bym chciał, aby prócz moich notatek znalazły się notatki równoległe Nany. 22 maja 1941r.

Nasze mieszkania

Na pierwszy ogień biorę to co jest w życiu każdego człowieka najważniejsze – mieszkanie, ognisko domowe, to skupisko i ogniwo wspólnych przeżyć i poczynań. Oboje jesteśmy domatorami, oboje kochamy dom, ten symbol więzi rodzinnej, dlatego też temu wędrownemu naszemu ognisku poświęcam pierwsze kartki. A bardzo to ognisko jest wędrowne. Ani rusz nie możemy ulokować się

i albo sami powodujemy zmiany, albo też wypadki przerzucają nas z miejsca na miejsce, aby po paru miesiącach znowu brać się do przeprowadzki

I. Białystok ul. S-to Jańska 18-6

Pierwsze nasze wspólne mieszkanie, pierwsze nasze małżeńskie kroki. Z tego lokalu jechaliśmy do ślubu, tam jedliśmy pierwszy nasz wspólny obiad, tam spędziliśmy pierwszy okres naszego pożycia. Rodzice moi oddali nam ze swego czteropokojowego mieszkania na II piętrze jeden pokój. Jeśli chodzi jego plusy to były zasadniczo dwa, że był dość obszerny, i że latem był chłodny. Minus jeden, najważniejszy, że był północny, a więc bez słońca. Wchodziło się do tego pokoju z korytarza dość długiego. Prócz tych drzwi wejściowych były jeszcze jedne drzwi, których nie używaliśmy, okno i wysunięty na środek pokoju duży piec kaflowy. Łazienka itd. były wspólne z Rodzicami. Światło, opał, utrzymanie też wspólne. Na posiłki schodziliśmy się u Rodziców w stołowym. Sprzątała służąca. Ich pranie itp. Sprawy gospodarskie były pod dowództwem Mamy. Pokój jak wspomniałem był dość duży, na ile pamiętam o wymiarach 5 1/2 x 5 metr.

Pracowałem wówczas w Ubezpieczalni Społecznej. Do biura miałem nie daleko, zresztą pod sam dom prawie dojeżdżał autobus. Sam dom w którym mieszkaliśmy był w najładniejszej może dzielnicy miasta, b. blisko tzw. plantów. gdzie można było oprócz sobót, dość spokojnie posiedzieć, odpocząć i dychnąć powietrzem. Pierwsze przygotowania do naszego zamieszkania ja robiłem. Był okres letni, mieszkalem tylko z Ojcem, więc wymyłem, wyfroterowałem podłogę, omiotłem ściany. Później przyjechała Nana i dokończyła zaczętego dzieła. Za ten pokój, łącznie z całodziennym utrzymaniem płaciliśmy 70 zł. miesięcznie i coś zdaje się służącej. Umebłowanie było b. skromne, o ile to można w ogóle tak szumnie nazywać. Na ile sobie przypominam stało tam: stolik Rodziców owalny, na nim albumy, kwiatek i jakieś drobiazgi, nad nim kilim też Ich, który później dostaliśmy wyjeżdżając do Warszawy, dalej kanapa Rodziców, za nią Ich słupek z resztką lustra tj. z postumentem, a później tam stała palma. Przy drugiej ścianie słupek z asparagusem, dalej mój stół tj. ściślej mówiąc nasz stół do pracy, nakryty serwetą kilimową. Stół ten, który do obecnej chwili służy nam jako stołowy dostaliśmy razem z serwetą od Rodziców Nany. Jest to ciężki, dębowy, masywny stół werandowy. Dalej szafka na ubranie.. Początkowo mieliśmy na ten cel szafkę kuchenną, którą pomalowałem na kolor c. brązowy, wykleiłem wewnątrz papierem, dorobiłem wieszadło, no i stało takie coś. Później otrzymaliśmy od moich Rodziców szafę meblową, ze złotej brzozy, trzydrzwiową z lustrem, do której uroczyście przenieśliśmy się i która dotąd dzieli z nami losy, a która jak dotąd pozostała tylko projektem na sypialnię, bo jak do dziś nie dało się nic prawie do niej dokupić do kompletu. Piszę prawie, gdyż jeszcze w Białymstoku dokupiliśmy dwie lampki nocne odpowiadające

kolorem przyszłej sypialni. Dalej nocne szafki Rodziców, no i nasze łóżka tj. jedno o ile pamiętam żelazne, a drugie moje siatkowe. Po otrzymaniu od Rodziców tej szafy meblowej, dotychczasową szafę kuchenną przerobiłem na tzw. bibliotekę i ulokowaliśmy ją w korytarzu przy naszych drzwiach. Krzesła, walizki no i różne drobiazgi uzupełniały wypełnienie tego pokoju. Ale jak zawsze nie narzekaliśmy i tak z niczego zaczęliśmy budować nasz dom, nasze ognisko. Dokupywaliśmy nas tym mieszkaniu różne rzeczy, przeważnie drobiazgi, albo ubrania, mimo to jednak kiedyś się ruszali do Warszawy, już dość dużo zebrali się gratów.

Stosunki towarzyskie nasze były w tym okresie b. skromne, poza paroma dosłownie domami znajomych Rodziców, nikt nie bywał u nas, ani myśmy nigdzie nie bywali. Parę razy z tego lokum jeździliśmy do Białowieży, parę razy Rodzice czy nawet tylko Mama odwiedzili, i to wszystko. Życie płynęło cicho, spokojnie, szaro. Ja szykowałem egzamin, Nina trochę się uczyła, trochę robiła koło domu, ale tej roboty było b. niewiele. Tak przemieszkaliśmy do początków kwietnia 1935r. tj. do otrzymania nominacji na Warszawę. Z tego naszego wspólnego pożycia z Rodzicami nie wynikło żadne grubsze nieporozumienie, żadne kwasy, dąsy lub niesnaski. Poza paroma drobnymi, lokalnymi incydentami nie zaszło przez ten okres prawie 9 miesięcy nic coby nas głębiej poróżniło. Może jedno, że Nana nie czuła się gospodynią, przyćmiona autorytetem Mamy, jako pierwszej gospodyni. Był trochę fałszywy stan, bo Mama nie dawała Jej nic takiego robić, żeby się nie męczyła, i żeby „nie wysługiwała”, a znowu Nana chętnie się chciała wziąć, zwłaszcza do niektórych robót np. do cerowania, czy prasowania mojej bielizny. Stan ten był na dłuższą metę bardzo nie wskazany, ale nie spowodował specjalnych w tej mierze zgrzytów.

II. Warszawa – Al. Jerozolimskie 11-

Nominację otrzymałem nagle. Realizowało się moje marzenie, miałem zacząć pracę w sądownictwie. Nic więc dziwnego, że wyjazd wyznaczaliśmy za dzień zdaje się. Do późnej nocy pakowaliśmy swoje graty i manatki, kładąc oczywiście najwięcej starań w opakowanie szafy. 4.IV. zdaje się wyjechaliliśmy z Białegostoku, biorąc ze sobą tylko walizy z podręcznymi bagażami. Resztę rzeczy zostawiliśmy w Białymstoku. Mieliśmy je zabrać po znalezieniu sobie mieszkania w Warszawie. Zdawało się to nam nie takie trudne. Wyjeżdżając dostaliśmy trochę gratów od Rodziców na nowe gospodarstwo. Były to przeważnie drobiazgi, a z większych rzeczy kilim.

Po przyjeździe do Warszawy zaczęliśmy na gwałt poszukiwania. Szukała głównie Nana, bo ja miałem bardzo dużo pracy. Kończyłem pracę w sądzie koło godz. 6 pp. Na ten okres przejściowy zainstalowaliśmy się czasowo u p. Julii Mokryjewicz ul. Al. Jerozolimskie 11. Lokal jej mieścił się na I piętrze. Mroczna,

ponura rudera składająca się z 2 pokoi i kuchnia. Myśmy się lokowali w pierwszym pokoju. Takie lokowanie trwało przez cały prawie miesiąc, bo do dnia 2.V.1935r.. Wspomnienia z tego właśnie mieszkania mamy nie bardzo wesole. P. Mokryjewicz, która nam pozwoliła zamieszkać i stołowała nas, b. lubiła interesować się naszym życiem, ale to głupstwo w porównaniu z tym, że prowadziła stołówkę. Koło południa już się zaczynało, że nie mieliśmy kąta, bo do tego pokoju, gdzieśmy się gnieździli, zaczynali się schodzić goście, taki stan trwał do wieczora, a wtedy znowu goście, kolacja, bardzo często karty. Wylaziliśmy ze skóry, aby znaleźć mieszkanie, a to szło jak po grudzie. o tym, żeby np. położyć się po południu, odpocząć, nie można było nawet marzyć, nie mówiąc już o tym że powinien się być uczyć do egzaminu. To locum nieszczęsne znosiliśmy przez miesiąc. Wprawdzie trudno to uważać za mieszkanie w sensie dosłownym, jest to raczej pier a`terre, ale dla całości nie pomijam i tego fragmentu. Nie był to nawet lokal sublokatorski, a dosłownie kąt przy rodzinie dla bezdietnego małżeństwa, za który płaciliśmy po 30 zdaje się złotych miesięcznie.

III. Warszawa ul. Krucza Nr. 4-

Nic też dziwnego, że w tych warunkach odkrycie przez Nanę możliwości dostania mieszkania przy ul. Kruczej N. 4 sprawiło nam radość nie lada. Zaraz po powrocie do domu poszliśmy go oglądać. Niestety było zamknięte. Opierając się na tym, co widziała Nana, zdecydowałem się brać mieszkanie. Składało się z jednego pokoju z alkową, na IV piętrze bez windy, komorne 70 zł. miesięcznie. Po konferencji z administratorem – żydem, zawarliśmy ustną umowę najmu. Wpłaciłem z pożyczonych od Babki pieniędzy 3 miesięczne komorne i administratorowi 30 złotych, chciał 70, i zaraz Nanka pojechała do Białegostoku po rzeczy, które przez ten cały czas czekały na nas spakowane. Przy pomocy Ojca wyekspediowała bagaż, sama zabrała trochę rzeczy i w okropnym tłoku przyjechała. Po paru dniach, dokładnie 2 maja 1935r. w ten historyczny dzień, kiedy na Warszawę spadła śnieżycą tak silna, że z powodu zasp tramwaje nie mogły kursować, ludzie z f. Hartwig przywieźli bagaż do p. Julii. W tę okropną pogodę Nana musiała gonić na Kruczą, przyjmować rzeczy, płacić przewóz. Kiedy wróciłem z sądu dowiedziałem się, że już mieszkanie jest zajęte przez nasze rzeczy. Zaraz też po obiedzie poszliśmy go urządzić. Na drugi dzień, korzystając ze święta dalej urządzaliśmy się. Wtedy to po raz pierwszy zobaczyłem to nasze pierwsze mieszkanie. Jak już wspominałem składało się ono z pokoju i alkowy. Wszystko to było minimalnych rozmiarów, ciasne, przerobione ze strychu, ale własne. Wchodziło się do tego naszego locum po dość obskurnych schodach, w miarę ciemnych, stromych, nie bardzo wygodnych, zwłaszcza od 3 piętra. Później trzeba było przejść dość długi

korytarz prawie zawsze ciemny, po obu stronach którego były takie same „kawalerskie mieszkania”. Po prawej stronie, idąc do nas były bardziej nowoczesne mieszkania, po lewej znacznie tańsze, typowe mansardy ze spadzistymi sufitami, małymi okienkami, zajmowanymi przez pracowników tramwajowych i tzw. proletariat. Do naszego mieszkania prowadziły ostatnie drzwi po prawej stronie. Miało to ten plus, że pod naszymi drzwiami mniej osób się kręciło, a wchodząc do nas wrażenie się poprawiało dzięki krztynie światła padającego z okienka na końcu korytarza. Przez ukośnie umieszczone drzwi wchodziło się do maleńkiego przedpokoju w którym ulokowaliśmy naszą „amerykańską” skrzynię na węgiel. Nad tą skrzynią wieszak na ubranie, no i już trzeba się było „przeciskać”. Przez drugie drzwi wchodziło się do pokoju. Urządziliśmy go, idąc wzdłuż ścian od prawej strony poczynając: szafę, za nią w kąt wtłoczone łóżko Nany, które już stało wzdłuż ściany vis a vis drzwi, w kącie następnym etażerka, przy następnej ścianie początkowo nasze połowe łóżko, a później otrzymany od Rodziców Nany tapczan przerobiony z materaca. W nogach tego tapczana piec, kaflowy, nawet zupełnie ładny, bo z takich kafli o kolorze białej kawy. Zaraz za tym piecem futryna do alkowy, bez drzwi, dość szeroka. Jedyne małe dość okno było nad łóżkiem Nany. Opis rozmieszczenia mebli najlepiej wskazuje jakiej wielkości był nasz pokój, a jeśli chodzi o wolne miejsce, po środku, to wystarczy jeśli dodam, że gdyśmy przyjmowali gości, to stół przenosiliśmy między tapczan a szafę no i wtedy o ruszeniu się prawie nie było już mowy. Alkova była nie większa. Zaraz za futryną po stronie pieca była kuchenka gazowa, dwufajerkowa, którą zaraz po wprowadzeniu się kupiliśmy na raty. Początkowo stała zdaje się na jakimś stołku, tego sobie nie przypominam, później Ojciec mój kupił nam szafkę kuchenną, ciemną, na której ulokowaliśmy tę kuchenkę, a w środku były nasze naczynia stołowe i kuchenne. Za szafką było okno, pod którym stało krzesło, zaraz dalej w kącie kran i fajansowa umywalnia, przy następnej ścianie nasza blaszana umywalka i przy następnej ścianie, krzesło, przed nim stół, i zaraz za nim futryna do pokoju. Tak wyglądało nasze pierwsze mieszkanie. Kiedy teraz piszę to, widzę ile, ile nam rzeczy brakowało, ale też mimo braków i różnych trudności, z ciepłem wspominam ten lokal, w którym stawialiśmy nasze pierwsze samodzielne, wspólne kroki. Z czasem ulepszyliśmy nasze gospodarstwo, lub ulepszyli je inni.

Gospodarstwo Nany, garnki, skorupy po trochu przybywały, to i owo się dokupywało, m. in. kupiliśmy, po długich poszukiwaniach nasz budzik nikłowy, za pieniądze otrzymane za wyjazd na jedną wizję. Zapomniałem jeszcze dodać dużo szczegółów, jeden, że ubikację mieliśmy ogólną, na korytarzu. Nie było to przyjemne, ale trudno, lepsza taka, niż taka jak u p. Julii – na podwórku, a drugi – to widok z naszych okien. Okno z pokoju wychodziło na Kruczą, ale przez to okno nic właściwie nie można było zobaczyć, gdyż dostać się z powodu łóżka, nie można tam było. Z oknem tym miała kiedyś Nana taki wypadek, że zimą chciała zamknąć lufcik, ramy były obmarznięte, trzasnęła mocno, szyba wyleciała i runęła z czwartego piętra na dół. Nana zmarła ze strachu,

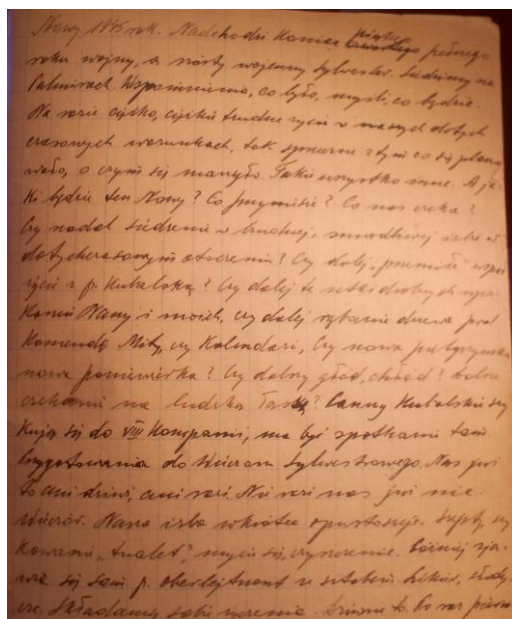
wyobraziła sobie, że akurat mógł ktoś przechodzić, szyba mogła go zabić, mogło w wózku jechać dziecko, które szyba też mogła okaleczyć itd. Wyjrzała oknem, wydało jej się, że ludzie się gromadzą, słyszała kroki do nas, umierała ze strachu. Na szczęście były to tylko obawy.. Wszystko skończyło się normalnie, że wstawiłem szybę. Drugie okno wychodziło ponad dachem niskiego domu na zbieg ulic: Kruczej, Mokotowskiej i Pańskiej. Widok z tego okna był nawet dość przyjemny i lubiłem go. Za tym oknem umieszczaliśmy naszą spiżarnię. Było to robione w ten sposób, że kosz od jednej przesyłki załadowywaliśmy prowiantami, przewiązywaliśmy sznurkiem i wyrzucali za okno na mróz. Był to zupełnie dobry pomysł. Mimo ciasnoty lokalu, jednak parokrotnie przyjmowaliśmy u siebie gości noclegowych, a raz nawet przez kilka dni bawili u nas oboje Rodzice Nany równocześnie. Ciasno było, bo ciasno, ale było.

W mieszkaniu tym zaszły też i dość poważne zmiany w naszych przeżyciach. Nana zaczęła sama gospodarować. Gotowała obiady, robiła wszystko co trzeba w domu, sama, bez pomocy. Jedyne do prania posyłałiśmy bieliznę do Białegostoku. Ja zrobiłem bardzo ważną rzecz, bo zdałem tutaj egzamin z III kursu i poprawkę, robiąc kurs w ciągu jednego roku. Warunki pracy miałem dość ciężkie, zwłaszcza latem, bo mieszkanie nasze stawało się istną patelnią. Często pracowałem siedząc tylko w spodenkach kąpielowych. Z mieszkania tego mamy parę zdjęć, przypominających nam, jak żyliśmy i urządzaliśmy się tam. Prowadziliśmy w tym mieszkaniu życie spokojne, bez wstrząsów i spokojnie, często włóczyliśmy się po znajomych, wracaliśmy po zamknięciu bramy, a że dawaliśmy zawsze dozorczy 2 zł. przy komornym i za bramę, więc były z nim dobre stosunki. W mieszkaniu tym spędziliśmy, przeszło 10, prawie 11 miesięcy, tj. domieszkaliśmy do końca marca 1936 roku. Okres ten był ciężki materialnie, ale nie przykry, spokojny, pracowity.

IV.

Zmianę w naszym życiu wywołało przejście Ojca Nanki na emeryturę.....

Palmiry – 1 stycznia 1945 – wspomnienia Taty



Rękopis wspomnień.

Nowy 1945 rok. Nadchodzi koniec piątego pełnego roku wojny, a szósty wojenny Sylwester. Siedzimy na Palmirach. Wspomnienia, co było, myśli, co będzie. Na razie ciężko, ciężkie trudne życie w naszych dotychczasowych warunkach, tak sprzeczne z tym co się planowało, o czym się marzyło. Takie wszystko inne. A jaki będzie ten Nowy? Co przyniesie? Co nas czeka? Czy nadal siedzenie w brudnej, smrodliwej izbie w dotychczasowym otoczeniu? Czy dalej „przemile” współżycie z panią K.? Czy dalej te setki drobnych upokorzeń Nany i moich, czy dalej rąbanie drzewa pod komendę Mity, czy Kolondasi. Czy nowa pielgrzymka, nowa poniewierka? Czy dalszy głód, chłód? Dalsze czekanie na ludzką łaskę?

Panny K. szykują się do VIII kompanii, ma być spotkanie tam. Przygotowania do wieczoru sylwestrowego. Nas już to ani dziwi, ani razi. Nie razi nas już nic. Wieczór, nasza izba wkrótce opustoszeje. Szepty, szykowanie „tualet”, mycie się, czyszczenie. Później zjawia się sam p.oberlejtant ze sztabem. Likier, słodycze. Składamy sobie życzenia. Dziwne to. Po raz pierwszy wymieniamy życzenia z ludźmi, którzy są mymi wrogami. Życzymy sobie szczęśliwego powrotu do domów. Zakończenia wojny, która już wszystkich zmęczyła. Powrotu do swego właściwego życia. Wszyscy są jeszcze trzeźwi. obrljtń. Bager wyraża głębokie przekonanie, że zakończenie wojny w chwili obecnej, byłoby klęską dla

Europy, gdyż dałoby zbyt mocną pozycję okropnemu komunizmowi. Przemilczam odpowiedź. Nie z sympatii dla którejś ze stron, a dlatego, że mam już dość. Kazbek zapewnia nas, że „tut daże mucha nie prolekit tak wsio ukreplenno”. Ogólne potwierdzenie. Rozmowa toczy się w czterech językach: po polsku, po francusku, po niemiecku i po rosyjsku. Dom pustoszeje, goście odchodzą, panienki również. Zostajemy my, pani K. i Kazbek. Kazbek wyciąga litr pipermentu, pijemy „z nowym godom”.

Nana idzie spać, ja jeszcze siedzę, rozmawiamy z Kazbkiem. Po północy wracają panienki syte wrażeń, przeżyć, jadła, trunków. Śmiechy, chichoty, wrażenia... a brat ich też w lagrze spotyka nowy rok z laski towarzyszy zabrany, może razem ze szwagrem, a może i sam. Ale to drobnostka. Noc, cisza, raptem stukanie w okno. Kto tam. To oberlejtant, trzeba otworzyć. Wchodzi komenda: Bager i Wezner. Obaj pijani „do czortikow”. Oberljt. chwiejąc się idzie przez pokój, zdejmuje mundur i ginie w panińskim łóżku córeczek K.. Nana się denerwuje, uspakajam ją. Zasypiamy. Usypiając słyszę dobre rady „mamusie”. „Maryśka, wyleż z łóżka, co będziesz z nimi spała”. Cisza, zdaje się jedna panna wychodzi. Mało mnie to obchodzi. Przyzwyczajenie. Rano Holender/?/przyszedł po buty swego pana, który ciągle spał snem sprawiedliwych. Oczyszczył buty, przyniósł. Ciekawi nas epilog tej. sceny. Zupełnie normalny. Koło południa przebudzenie, wstał, ubrał się, pogadał coś do naszych dziewczynek i poszedł. Nawet bez krótkiego „pardon”. Licho jedno teraz wojna.

Idziemy na spacer. Dziewczynki i ja. Idziemy przez wieś. Dziewczynki w swoich letnich sandałkach, ja w płaszczu. Teraz wojna. Kika marzy o zjeżdżaniu na sankach z górki za wsią. Gdybyś wiedziała Krychno, co te góry kryją w swych wnętrzach. Ale to bardzo dobra myśl. Polskie wygnane, tułacz dziecko, któremu, któremu zabrano wszystko. Dosłownie wszystko, bo nawet nas nie mają takich jak mieć powinny, zjeżdża po grobach swych braci na sankach. Czy zdzierać im opaski z oczu? Po co? Może jutro, pojutrze mnie, czy nas te piachy przytulą. Serce krwawi patrząc na te dzieci. Za co one mają to co mają, dlaczego. Co one winne. Nie mają nic prócz ciasnoty, nudy, naszych rozlatanych nerwów, głodu, czy prawie głodu w porównaniu z ich potrzebami...Zaczynamy nowy 1945 rok...

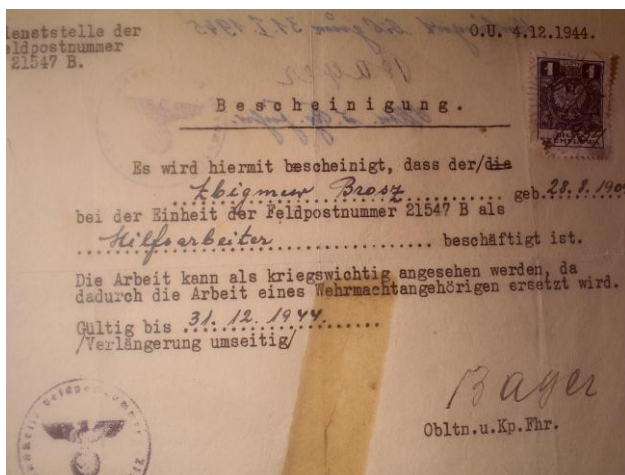
I płyną dni jak poprzednio, bez zmian, aż 3-go stycznia hiobowa wieś. Przyjechali radjotelegrafści niemieccy. Jutro mamy im oddać naszą chałupę. A my? A dzieci? Teraz zima, mróz? Wojna. Kazbek radzi się bronić. Interweniować u d-ców kompanii, że my pracujemy. Obliczam szanse. Nasze są minimalne. Nina nie pójdzie do Oberlejtanta na noc, więc ... Ale idziemy. Spotykamy go na drodze. Bardzo uprzejmie zaprasza do siebie, zaraz wróci. Po powrocie komunikuje, że burza zażegnana. Postawi im bunkier, nas nie ruszy. Dziękujemy. Nastawienie podwładnych życzliwe dla nas, negatywne dla

K.. Alik i Mita ofiarują nam swą pomoc w razie potrzeby „postawim wam bunkier, horoszyj bunkier”. Zazdrość o względy panienek dla oficerów.

Nie upadam na duchu, ale nie chcę się ruszać z Palmir. W /.../

Bunkier rzeczywiście wybudowali radiotelegrafistom. Nas nie ruszyli. I znów dni monotonne, jednakie. Drzewo, kuchnia, nowy magazynier. Od czasu do czasu jałmużna dla dzieci; coś z jedzenia, znowu czekanie.

Armaty za Wisłą zaczynają się odzywać. To ciszej, to głośniejsze, ale co raz częściej i gęściej. Między wojskiem zaczyna się poruszenie.. Ale Mitia patrzy spokojnie na mówiących i zapewnia mnie że: „oni nie przyjdut”. Nie dadzą rady. Pytamy Kazbeka o nowiny. Należy być zupełnie spokojnym. „Tut mucha nie proleci”. Koło 13-go słychać silną akcję po drugiej stronie. Zaczyna to podniecać. K. omalże wykluczają możliwość zmian, nie wierzą, no ale ich karmi propaganda i zapewnienia Żorża, ich trzyma dobry obecny byt, a nas, a mnie?... Stawiam tezę, że na 23 stycznia będziemy już na Bielanych. Ogólny półuśmieszek, realny romantyzm, co za dziecinne złudzenia. A ja w to wierzę. Ale oprócz mnie nikt. Rąbię drzewo. Kazbek przychodzi i z scenicznym /?/ akcentem komunikuje nam, że 3 dywizje rosyjskie rozbite w pył. Nie wyszedł jeden żywy. Szalony sukces. Przygotowany przez Rosjan most, o jakiejś cudownej konstrukcji, który mógł być przerzucony przez Wisłę w ciągu 20 minut został rozbity. „Nasze wojska stoją dzielnie i nie przepuszczą ich przez Wisłę. Ot kilka dni temu przeszedł oddział złożony z 200 ludzi, nasze stráže puściły ich w głąb i żaden nie wrócił. Zasadzka”. Słuchamy tego. Nanka, jako łatwiej ulegająca wpływom martwi się, ja nie wierzę, ale cóż ani nikt, ani nic nie utwierdza mnie w tym. Jestem odosobniony bez dowodów.



Zaświadczenie o pracy.

14 stycznia, popołudniu . Czuję się źle, jakoś mi dziwnie obco. Coś mi dolega. Leżę, zdaje się była niedziela. Tak niedziela, bo miałem mniej roboty. Nana namawia mnie na położenie się do łóżka. Idę do naszego felczera, daje mi jakieś proszki, to na spadek temperatury, biorę, ale czuje że gorączka mnie chwyta. Kładę się do łóżka. Usypiamy, armaty grają za Wisłą, słychać bój. Noc ... godzina koło 4-ej. Bębnienie w okno. Kazbek pyta kto tam . Z za okna pada

jedno słowo „trwoga”. Kazbek zrywa się. Poruszenie w całym domu, pytania. Kazbek ubiera się. „nada posmatriet”, widać na nim pewne wrażenie, ale się trzyma. Ubrany wychodzi, wraca „mamasza prigotow moji wieszczii”. Nana pyta czy coś groźnego. „Raz trwoga, to trwoga, nada być w podgatowkie”. Wraca szybko. Za pół godziny wyjeżdżają. Zaczyna się urwanie głowy. Kazbek szybko pakuje się. Nana pyta się co to ma znaczyć, czy niebezpieczeństwo? Nie odpowiada wyraźnie, a ogólnikami. „eto że wajna”. Przybiega Werner, Hópka, wpada co raz to któryś. Janka nie udaje już. Zapuchła od płaczu Marysia też płacze. Wytwarza się dziwny nastrój. Panie K. co raz któraś ginie w drzwiach i wraca z jakąś zdobyczą. Szepty, namawiania się, konszachty. Żołnierze kręcą się tam i na powrót, żegnają się, jedni się śmieją, drudzy omal mówią przez łzy. Ja nie wstaję. Decyduję się zostać, co będzie to będzie. Nana zdenerwowana bo nie wie na pewno czy ja mówię to w gorączce, czy na trzeźwo. Przychodzi Kuliew /?/ „Nie zabywaj”. Nana idzie do magazyniera, że ja jestem chory i może da coś dla dzieci. Przynosi trochę chleba, reszta zapakowane. Przychodzi Kazbek. Spokojniejszy. Wyjazd odroczone. Chodzi jedynie o zmianę stanowiska. Jadą do Sochaczewa. Tam będą dalej stacjonować. Bądźmy spokojni, zupełnie spokojni. On nie zapomni o nas, jak tylko przyjedzie na miejsce przyśle po nas „powozku”. Zabierze nas gdzieś dalej. To nie potrzebny alarm. To zwykła zmiana miejsca, za długo tu byli, roboty już wykonane, jadą dalej. Bardzo serdecznie żegna się z Jurkiem. Bierze go na ręce, tuli do siebie, całuje, pyta czy go będzie pamiętał. Jurek jak zawsze przekrzykuje się z nim, powtarza swoje „idi” i „ap”. Kazbek wyjmując kartkę papieru... „ja lubiciel adresów, ostaw też mnie swoi adresy”. Zapisuje, bo ludzie zawsze mogą się spotkać.

Koło 8-ej wyjeżdżają. Wyjeżdżają, ale o nas nie zapomną, zabiorą nas. Żorż uspakaja p.Stasię. On jeszcze zostaje. On i kilkunastu innych będą tu przez cztery doby, bo mają jeszcze dużo rzeczy do zabrania. Jak tabor odwiezie pierwszą turę, przyjedzie po nich, wtedy zabiorą wszystkich, nie ma nic groźnego, to norma postoju. Wszystko ucicha. Po obejściu zaczynają się szwendać maruderzy, co zostali., odbierają Jance rower „dar” Mity. Babcia-gospodyni Wenera ./ przychodzi na posesję. Zagląda „żenszczyzna” co my robimy. Koło południa tracę przytomność. Bada mnie jedyny pozostały felczer Niemiec. Temperatura 39,3, o ruszeniu się mowy nie ma. Nana zdenerwowana. Ja ani na chwilę nie wątpię w opatrność. Tak mamy /.../. Tak pisano.

K. pakują się, patrzą na nas z politowaniem. Ja niewzruszenie decyduję się wstać. Ale - trzeba żyć. To straszne. Gorączka po proskach spada, przespałem się. Jestem zupełnie przytomny. Kontroluje swą wiedzę i stan umysłu, zdaje się nie jestem w gorączce. Zaczynam na spokojno obrachunek. Leżę z zamkniętymi oczami, udaję, że śpię bo muszę się zastanowić. Pięć żyć ludzkich. Odmawiam różaniec. Proszę Matkę Najświętrzą o dobrą radę. Na zimno, na trzeźwo zaczynam obliczać co robić. I kiedy już jestem przed decyzją –

powraca jedno – pięć żyć. Boże, co za męka, co za okropna męka. Nie wiem czy pod wpływem niedawnej gorączki, ale przed zamkniętymi oczami snują się różne obrazy. Widzę Dziewczynki rozerwane na kawałki, widzę Jurka bez rączki, krew wali, pomocy żadnej, modłę się, co robić? Iść dalej, iść ginąć z zimna i głodu, zostać pod kule i w walce. Matko ratuj. Zaczynam się znów kontrolować, czy nie wraca maligna. Chyba nie. Działania arytmetyczne – prawidłowo. Gdzie jestem, zdaję sobie sprawę. Tak trzeba coś przedsięwziąć. Czy dam radę iść i pchać wózek? Musiałbym kosztem kilku lat życia, ale to Oni, to moi, moi jedyni, może ostatni. Czuję, że robi mi się zimno i gorąco, ale też czuję, że ja, właśnie ja muszę zdecydować, tak czy tak. Iść czy zostać. I wziąć na siebie pięć żyć. Żeby to choć pięć. Żeby i swoje razem, ale jeśli ten świszczący, ten djabelsko śmiejący się pocisk zabije cztery, a mnie zostawi. Całe życie, całe długie życie – takos zdecydował. Boże, co robić. Armaty grają. Słyszc bitwę. Dzieci się kręcą, K. pakują, a ja ważę to wszystko i szukam wyjścia. Mała wieś, brak linii oporu, opuszczeni przez wojsko, położenie nie przy szosie, nie, tutaj bitwy już nie będzie. Będzie bitwa nad Wisłą, a później odskok i druga za lasem a u nas bitwy nie będzie, tutaj na Palmirach będzie ten interwał, tu będzie w biegu fal wojennych zagłębienie. Jedno wzgórze nad Wisłą, drugie za lasem, a my przeżyjemy tutaj spokojnie. Już chcę powiedzieć, że my zostajemy, kiedy jak widmo staje mi przed oczami rozwalona kuchnia domku na Bielanych ... i tam się upierałeś i tam pewny byłeś swych obliczeń i tam nie dałeś się przekonać ... a przecież poczułeś, omal że dotknąłeś śmierci. Czuję że mi jest słabo. Nie wiem co robić. Zaczynam obrachunek od początku, modłę się i myślę. Ciągłe jednak przeważa aby zostać, tak zostać, zostać, zdaje się że usnąłem, budzę się, ruch w pokoju. Siedzi Żorż, dowiaduje się, że czas ich pobytu w Palmirach został skrócony, dziś w nocy wyjeżdżają bo taki przyszedł rozkaz. Muszą zmienić miejsce postoj. Pytanie nasze, czy Palmiry są zagrożone otrzymuje bardzo wymijająca odpowiedź, coś w rodzaju, że dobrze nie jest. Wieczór się zbliża, Przygotowania pań K. w pełnym biegu, patrzę na to i biję się z myślami, co robić. Nankę nastawiam, że zostajemy, ale sam nie jestem zdecydowany. Ciągłe jeden moment – pięć żyć.

Żorż wychodzi, wychodząc uprzedza, żeby się nie przestraszyć detonacji, bo otrzymali rozkaz wysadzenia pozostawionej amunicji. To ostrzeżenie jest dla mnie iskrą w ciemności. Myśl zaczyna pracować. Jak to wysadzać amunicję, czas pobytu skrócony o trzy doby, wysadzać amunicję kiedy nie mają jej tak dużo, ogień za Wisłą nie ustaje, nie amunicji nie wysadza się jeśli można ją wywieźć, a więc nie można, a więc te uśmiercone trzy dywizje pewnie żyją, więc to nastąpi lada moment, więc i my jeśli się ruszymy to na ręcznym wózku ujedziemy parę kilometrów, a co dalej, nie to nonsens, żegnam się i - decyduję się ostatecznie - zostajemy.

Tak zostajemy, jest mi trochę lżej. Wola Boża ale niech się skończy ta męcząca walka co robić. Odsuwam od siebie ewentualności złe, bo jeśli się ruszymy to nic innego nas nie czeka, a tu jest choć dach nad głową, choć ciepło, opał, woda

gorąca. Zostajemy. Żorż wpada z wiadomością, że odchodzą o 8-ej wieczorem. Ale punktualnie, ani minuty spóźnienia bo czekać nie mogą. Przyjdzie po nich. Uśmiecham się do siebie. My zostajemy. o 8-ej nasza izba pustoszeje. Pożegnania, szczęśliwej drogi, do widzenia, wieczór, ciemno. Bitwa wre, zostajemy sami. Sami jedni bo we wsi też nie wielu ludzi. Zostajemy na zło i na dobro, zostajemy, aby przetrzymać lub zginąć.

Noc przesypiamy, pukanie do drzwi. Jakiś Niemiec mówiący po polsku, jedzie jako furman, pochodzi ze Wschodu. Tutaj będzie nocował. Jest nam obojętne. Nana grzeje mu porcję/ .../, jest b .grzeczny, cichy, pyta co zamierzamy robić. Mąż jest chory, nie możemy się ruszyć, kręci głową. Kładzie się w ubraniu na łóżku Kazbeka. Jest małowówny, o sytuacji mówi b. ostrożnie ale czuje się niepewnie. Usypiamy. Wśród ciemnej jeszcze nocy wyrusza dalej, zostajemy sami.

Kiedyś 15-go stycznia w dzień imienin Pawełka b. miło spędzaliśmy ten dzień a dziś taka walka, taka sytuacja i może, może ostatni nasz dzień. Teraz wojna...

16.I.45. Szary świt wstaje. Nana ubrana spała, wstaje, zaczyna się krzątać, rozpala ogień, dym zwabia jakiegoś grubego Niemca. Wchodzi w pełnym rynsztunku bojowym, patrzy na nas zdziwiony, coś mówi, nie rozumiemy się, prosi o pozwolenie odgrzania sobie chleba. Jest najwyraźniej przemarzły. Grzeje chleb, wstają dziewczynki, częstuje je sztucznym miodem. Widać na nim pewne podniecenie, co raz wygląda za drzwi. Dogadać się nie możemy, wreszcie odchodzi. Nanka wychodzi po wodę, ja leżę. Nana wraca, jest podniecona. Mówi mi, że jacyś żołnierze leżą na naszym ogrodzie, przy czymś na trójnogach i patrzą w kierunku Wisły... Jesteśmy na linii obrony...Karabiny maszynowe, moje obliczenia zawiodły... robi mi się dziwnie ciężko, patrzę na dzieci. One nie zdają sobie sprawy z tego co ich czeka, a jeśli, jeśli... może Tam zrozumieją jak miały krótkowzrocznego ojca... pięć żyć... Boże ratuj, Boże nie opuszczaj, patrzę na nich, nie widzą. Patrzę na Nankę, też chyba wszystkiego nie rozumie. Jesteśmy sami, strasznie, potwornie sami, linia obrony przed naszym domem, aby iść dalej trzeba tę linię usunąć, to jasne, to nie nasuwa wątpliwości, a żeby usunąć to trzeba strzelać, tu w to miejsce, właśnie w nas, pożar, kule, pociski, słomiany dach, wypatrywanie gołym okiem, więc już się stało.

Nie mam sił iść, ani nieść, ani ciągnąć, co będzie? I dziwi się ludzie, że jestem taki teraz inny, dziwi się Nana, gdybym był w wojsku, krył bym swoją głowę i to wszystko, a tutaj mam kryć ich czworo i nawet moje ciało nie zatrzyma pocisku ..

Nowi goście : Polak, Ślązak. Ludzie co tu robita, to prędzej bym się śmierci spodziewał niż zobaczyć was z dziećmi, tutaj ...to pewna śmierć. Czy tu będzie front? Tu już jest front. Odpina manierkę, wysypuje całą zawartość cukru dla dzieci mi oddaje swój szalik. Ludzie, na Boga, ratujta się tu śmierć pewna, tu z dzieckami, idzta dalej, choć na zadek wsi, choć z 10 kilometrów, ale uchodzta, uchodzta, na miłość boską, zginieta. Ja też mam dwoje dzieci, czy ich zobaczę, chyba nie, już po wszystkim, brat zginął w obozie bo nie chciał iść do wojska niemieckiego, ja poszedłem, żona została chora. Kto się nimi teraz

zajmie, kto? Nie płacze, bo już pewnie nie raz to pytanie oplakał, ale widać po nim co to proste serce czuje. Dlaczego się nie ratujemy, dlaczego nie uciekamy, on nie może, ale my? Ja też nie mogę. Ubieram się, sił mało ale trzeba być gotowym. Znow jesteśmy sami. Za chwilę wraca, snuje swoje czarne myśli, jest przybity ale o sytuacji nie chce mówić. Mówi że jest źle. Pije łapczywie gorącą kawę, mam wrażenie że też jest chory, wypieki na twarzy. Ja już ich nie zobaczę. Ostańta z Bogiem. Ratujta się.

Jesteśmy sami. W tej izbie tak nieraz gwarnej, tak rojnej, pełnej śmiechu, dymu papierosowego, tańców, teraz snujemy się we dwójkę, a z nami te nasze biedne, biedne dzieci. Nana usiłuje szykować coś do zjedzenia, po coś podchodzi do okna i widzi śmieszny obrazek, żołnierz biega jakby się bawił w akuku, to z tej strony wygląda z za piwnicy, to z drugiej, biega chyłkiem. Podchodzę do okna to śmieszne – to straszne - to śmierć. Uchylamy drzwi, na dworze słyhać świst jeden, drugi, dziesiąty, stały świst, kule szukają celów. Wszędzie wokół nas. Zdaję sobie sprawę ... ostatnia linia oporu ... na naszym ogrodzie. Staram się opanować. Czuję że mi ręce drżą, nie, muszę się trzymać, muszę panować nad sobą dzieci.

Ubieramy pospiesznie dzieci. Zbieramy koce, poduszki, ale nas jest dwoje a ich troje. Trzeba wyjść za drzwi, przebyć ze trzy kroki otwartej przestrzeni, aby skryć się za nasz dom i wpaść do dołu na kartofle za domem. Trzeba zrobić parę kroków pod ostrzałem, bez osłony, trzeba wejść w ten świst. Jakie jest uczucie kiedy kulka wchodzi w ciało? Krew uchodzi, pomocy żadnej i – spokój. Może zostać w domu? nie, słomiany dach, ryzyko. A Krychna, ta biedna kochana kruszynka jako najstarsza ma iść w ten świst sama. Hanię ja biorę, Jurka Nana, a ona ta sześciolatnia żołniereczka ma wejść w pole ostrzału bez hełmu, bez znajomości czółgania się, dziecko, i ma tak jak goły przez ogień przejść. Co robić, ale wyjścia nie ma. Całuję Ją, Matce Bożej polecam i proszę: choć zgubisz sandałki, choć zgubisz coś innego nic nie szkodzi. Jak najszybciej przebiegnij za sień, za dom i do piwnicy gdzie były buraki, rozumiesz dziecinko Tak Tatusiu. Te oczyska wpatrzona, tak Tatusiu. Wypycham dziecko na kule, choć podrzesz palto nic nie szkodzi, nikt nic Ci nie powie. Żegnam ją krzyżem, Za tobą zaraz idzie Mamusia z Jureczkiem, a ja na końcu z Hanią. Ale będziecie zaraz za mną... Będziemy, z Bogiem.

Sekundy, może ułamki sekund, nie wiem. Wpadamy do piwnicy. Hanulkę tule do siebie, a kruszynka, ta dzielna kruszynka przeszła sama. Sama 6-letnia przeszła przez pole ostrzału. Jesteśmy w piwnicy, a co dalej? Początek nie jest jeszcze tak groźny. Słyhać świst przelatujących kul karabinowych, słyhać z oddalenia działa, ale położenie nasze jest marne. Orientuję się w sytuacji. Piwnica a właściwie ten dołek na kartofle jest w ziemi, o jakieś ok. 50 cm pod poziomem. Około 150 cm nad ziemią jest mur z cegieł pojedynczych i wszystko to jest obłożone ziemią dość grubo w kształcie pagórka. Sufit z bali. Od kul to chroni, ale od pocisków większych ... domek na Bielanych był znacznie lepszej

konstrukcji. Kolosalnym brakiem jest brak okna, cały zatem otwór jest bez osłony, a otwór ten właśnie wychodzi na Wisłę, skąd lecą kule.

Sytuację ratuje, że po obu stronach wejścia są małe wykusze z cegieł, że wprost nas, w oddaleniu kilkudziesięciu kroków jest stodoła, która zasłania widok na Wisłę, że dołek ten znajduje się na tyłach dwu sąsiednich domów, zasłaniających go częściowo. To są plusy, ale są i minusy. A największym to, że właśnie na linii tej stodoły stoją karabiny maszynowe niemieckie.

Dzień jest ładny, mróz słaby, powietrze czyste, powietrze czyste. Nana z Jurkiem usadowieni po prawej stronie, tyłem do Wisły, siedzi w kucki trzymając Jurasa na kolanach, owiniętego jako tako kocem. Dziewczynki po lewej stronie, też za wykuszem rzędem pod ścianą podłużną, owijam ich jakoś kocem bo widzę, że drżą trochę z zimna, a trochę z wrażenia. Sekunda zastanowienia, której dać lepsze, pewniejsze miejsce. Ciężki wybór, jaki ciężki. Miejsce w samym kącie jest pewniejsze, bo mniejsze prawdopodobieństwo rykoszetu czy strzału z boku. Następne miejsca gorsze. Czy wolno mi wyznaczać im miejsca, niechby zajęły same, ale dziecińcy przestraszone, co tam przestraszone, do najwyższych granic przerażone. Tłuką się po dołku, nie rozumiejąc co się do nich mówi. Boże, to były sekundy, ale ile kosztowały. Pamiętam z całą realnością te sekundy i pamiętać je będę. Dziś gdy to piszę, już po dłuższym czasie wydaje mi się, że znów przezywam to samo. Którą w kąt? Sądzą tam Hanię. Może będziesz kiedyś mi to za złe miała Kruszyńko. Trudno. To nie jest dowodem, że Ciebie chciałem bardziej narazić, że Ją więcej kochałem. Nie, ale gdybyś Ty spojrzała w te Jej oczęta rozszerzone do maximum, to zwierzęce przerażenie, to też byś Ją posadziła w myśnię dziurę, a sama zasłaniała Ją sobą. Kruszyńka obejmuje Hanię. Łzy jej płyną jak groch, buzia się trzęsie, głos drży, ale dzielna dziewczynka. „Haniu nie bój się, Rodzice są z nami”. Dziecino ! Jak Cię osłonic, jak i co zrobić, aby nie zabić tej Twojej wiary. „Rodzice są z nami”. Wszyscy usadowieni. Ja kładę się na ziemi wprost otworu. Nana prosi aby zasłonić otwór jakąś siatką z materaca co się wala w dołku, mimo woli uśmiecham się ale niech będzie.. Nana kładzie na tę siatkę jakąś poduszkę „pierze chroni”. Niech będzie. Zaczynamy się głośno wspólnie modlić. Ale wszystko to trwało znacznie krócej niż ten opis. Niepostrzeżenie, z minuty na minutę ogień się wzmacnia. Karabiny maszynowe grają bez przerwy. Seria za serią, taśma za taśmą, całą linią. Pozostaje zgiełk. Świst kul w naszym kierunku jakby ustał, lub zagłuszyły go. Ale odzywa się coś gorszego+. Pociski. Słysząc świst, ten szatański chichot, ten potworny śmiech wszystkich wieźm świata, to co człowieka mimo woli przygniata do ziemi, co kurczy w nas każdy nerw, każdą żyłkę, co wykrzywia twarz i mruży oczy ... a potem huk, dym, piasek się sypie, swąd prochu ... to znamy, nic nowego ale objawy te same. Reakcja taka sama. I coraz głośniej, co raz częściej słysząc ten śmiech, huk, coraz więcej drży ziemia, coraz więcej prochu sypie się na nasze głowy. Czy ten dla nas? Czy następny? Który? Dziewczynki trzęsą się jak w febrze, wargi drżą, oczy przerażone, nie mogą patrzeć. Modlimy się. Przysuwam się do Kiki, żeby

zasłonić ją sobą. Nana nie panuje już nad nerwami. Przypominam ciągle, aby głowy trzymali niżej poziomowi ziemi. Nerwy Nanki odmawiają posłuszeństwa, zrywa się, chce wstać. Krzyczy, że musi wstać, musi wyjść na wierzch, niech się dzieje co chce. Widzę Jej twarz, zapłakaną, wykrzywioną, drżącą. Przez głowę przelatuje mi myśl jak błyskawica, a jak ta twarz będzie wyglądała później, po wszystkim, jeśli ... o Boże ratuj. Próbuję perswadować, nie pomaga. Krzyczę, zabraniam, masz dziecko, nie wolno, to szaleństwo, pamiętaj. Jurek... Sam ledwo panuję nad sobą. Wczorajsza gorączka też robi swoje. Uspakaja się, siedzi.. Krychna dostaje jakiegoś histerycznego płaczu „Matko Boska, Matko kochana, ratuj nas, ratuj. Ty nie możesz nam dać zginąć, my nie zginiemy, Matko Kochana ratuj nas, ratuj”. Hani twarz nie widać, same oczy, przerażone, trzęsie się z płaczu, patrzy na Krychnę i powtarza za nią poszczególne słowa. Modlimy się znów razem, a pociski bez przerwy rwą się wokół nas, to bliżej to dalej, to pojedynczo, to seriami. Piekło, bez przesady piekło, aż tchu wprost brak. Odmawiamy z Naną modlitwę odpustową na godzinę śmierci bo ta śmierć chodzi tuż, tuż...

„Tatusiu nie unoś tak głowy bo Cię jeszcze kula trafi i zabije. Kruszyno moja, Ty mając sześć lat, sześć lat, mówisz i rozumiesz to co mówisz i co grozi i co czeka. Schylam głowę. Kto odpowie za te słowa dziecka, kto mim zwróci te łzy, to przerażenie. Jurek też ryczy ale te dziecięce głosy giną w ogniu śmierci. Ginę albo może przebijają przez ten gwar i niosą prośby i łzy przed tron Królowej Pokoju, Królowej Korony Polskiej... „Tatusiu czy to stąd strzelają, czy tu strzelają?” Waham się ...”stąd kruszynko, módl się”. Nie Tatusiu, bo gdyby stąd strzelali to by nas piasek tak nie zasypywał, nie trzęsłoby tak, nie czułabym tak tych pocisków”. Patrzę na Nią. Więc zdaje sobie sprawę, że Ona jest celem. Widziała tyle razy odłamki, małe i duże, więc wie, że te odłamki teraz lecą tutaj, że lecą, że trafiają, że grożą Jej, nam. Wszystko rozumie. Wydaje mi się, że tracę zmysły. To nie zwrot poetycki, to prawda. A co musi czuć to małe serduszko? Nana patrzy na Nią a pociski lecą, lecą, lecą, przychodzi chwila, że i mnie jest wszystko jedno, zdaję sobie sprawę, że jeśli to dłużej będzie trwało to też wstanę, pójdę, niech się dzieje co ma być. Zaciskam zęby... Nanka wspomina po kolei naszych najbliższych, żegna Ich. Tak to możliwe. Przez głowę przelatują wspomnienia, dzieciństwo, dom, Bielsk, Warszawa, uniwersytet, Nana, ślub, wycieczki, praca, sąd adwokatura, dzieci, plany, czym być adwokatem, prokuratorem, sędzią, jak wychować najracjonalniej dzieci, mieć swój dom, gospodarstwo... a tu pociski lecą, lecą...który dla nas? ...plan...wybuch...szum, już się nie słyszy poszczególnych tonów ani świstów, tylko jedno wycie nad głową przerywane detonacjami. Któraś z nas zaczyna się śmiać. Nie pamiętam kto ale słyszę ten śmiech. Wspominamy naszego Tatke. On widzi z góry to co przeżywamy. Może pomoże.

Czas robi swoje, ogień nie ustaje, ale ja się uspakajam, lub – może do reszty wyczerpuję. Zrobiłem rachunek sumienia, jestem gotów na śmierć. Żegnaj ich oczyma, ale nie wyobrażam sobie, żeby z pod tego zniszczonego dołka ktoś z nas

wyszedł. To nie możliwe. Obiecujemy modlić się jeśli stąd wyjdziemy: Ojciec i zdrowaś. Ale przecież nie wyjdziemy, żeby choć razem...

Nagle wśród największego ognia słyszymy głosy ludzkie z góry, bieganina, krzątania, milną najbliższe maszynki i pod tym gradem pocisków furmanka galopem odjeżdża. Z za stodoły robi się cisza, dziwna cisza, czegoś brak, co to znaczy. Świszczący dach /?/ runął, nie ma go, gdzieś z oddali od strony Wisły pojedyncze wystrzały karabinowe i pistoletowe. Co to jest. Co to znaczy, dlaczego ta cisza, czy to już tamten świat, czy oblęd, co się stało. Patrzymy na siebie. Nanka radzi ostrożnie wyjrzeć. Unoszę się, nic nie widać, cofam się, co robić, nie mam sił, zaraz, muszę się uspokoić, znów się unoszę, wyglądam spokojnie. Nagle z prawej strony jakiś duży cień i głos „Ty kto? ruki w wierch, wychodi”. Okupacja nauczyła nas dyscypliny, rzeczywistość nauczyła nas tego, że nie każdy mówiący po polsku jest Polakiem, że sam byłem świadkiem, jak na pytanie niemieckiego oficera skierowane do wyciągniętych jak struna czterech „zdobyców świata” obleczonych w mundury Wehrmachtu z „Gott mit uns” na brzuchach, padła krótka odpowiedź „niczego nie ponimajem wasze prewoschoditelstwo”, czas pod ogniem przytępił orientowanie się i umysł, rezultatem tego wszystkiego było jedno, że ręce posłusznie podniosłem do góry i choć nie widziałem prawie co się dzieje na górze, zaczynam się gramolić, słyszę, że coś Nana mówi, i dzieci, ale idę, bo usłyszałem krótkie „wychodi”. Moje osłony- siatka i poduszka pętają się pod nogami, wreszcie jestem na górze, oko w oko z grupą 5 czy 6-ciu żołnierzy, wysokich, barczystych w baranicach na głowach, wśród wełny nad czołem migoce „krasnoje znamie”, ale to mi nic nie mówi. Patrzę na nich i nic nie widzę. Widzę raczej pistolet w ręku najbliższego żołnierza i trzymany na „gotuj broń” automat u drugiego. Oko tego automatu patrzy na mnie. „Ty kto?”. Zaczynam myśleć, ach pytają, to dobrze, wysilam mózg aby zebrać do kupy rozpięchłe myśli i zaczynam wiwisekcje kilku słów jakie znam „wir sint ewakuiren, Hir ist main Frau und kindes, wir...” dalsze wynurzenia przerywa jeden z grupy, nie tyle słowami ile czynem. Czuję drugie „oko” ale już wprost moim sercu. Dotyka do płaszcza, to pierwsze podnosi się nieco wyżej... przykre uczucie, w ustach robi mi się słodko, w nogach miękko, myśli kołują nad głową. Nagle słyszę jak z za mgły głos Nanki „my bizincy /?/, my sdies spriatalis od boju, tut dieti „ Ten głos doprowadza mnie do równowagi, myśli osiadają, opanowuję się. „Krasnoje znamie” krzyczy teraz z czapki żołnierskiej, opuszczam ręce bez zezwolenia i z wylewnością i uśmiechem na twarzy rozanielonej słowami „da Wy że nas spasli, balszoje Wam spasibo, my wsio zrenia Was zdies azidali, wot że nie uznał Was s razu” czuję uścisk ręki i widzę roześmianą gębę pod baranicą, druga baranica zagląda do piwnicy, oko usuwa się z płaszcza. „Ty polak ili niemiec?” „Konieczno Polak”... „Wpierod, pierod, nie zadierzywatsia”, sielanka pryska, młody lejtnant przypomina baranicom ich powinność, odchodząc rzucając za siebie: „iditie jeszcze w podwał, a to Fritz możet strielat”. Schodzimy do piwnicy, śmiejemy, ale czuję, że łzy mi płyną po policzkach... jesteśmy ocaleni, strzały

milkną, na dworze świeci cudowne, styczniowe słońce, burza minęła, wracamy do izby, wszyscy padamy na kolana i tak jak może nigdy jeszcze w życiu dziękujemy Tej co w Ostrej świeci Bramie, za pomoc i ocalenie, za powrót, za możliwość wspólnej modlitwy, za słońce, za płacz Juraska, który najmniej rozumie, za nasze słowa, za wszystko. Przeżyliśmy front, przeszliśmy przez samo serce „nastupienia”. Przypominają mi się słowa Ojca Jana ...”to wasze piorunochrony” ...

Nina krząta się koło kuchni, ja siedzę na naszej pryczy, ręce i nogi mam jak z waty, w głowie szumi, gorączka wcześniejsza jeszcze ze mnie nie wyszła, nie mogę się wziąć do niczego, a drzwi bez przerwy się otwierają, jedni „bajcy” wchodzi, drudzy wychodzą, każdy o coś pyta. Każdy czeka aż będziemy wyrażać im swoje uznanie „za hrabrość”, ten i ów coś przynosi, jeden obdarowuje mnie kilkunastoma żyletkami francuskimi – zdobycz wojenna. Nance daje igłę, niszczy jakieś papiery co pewnie wziął od jeńca, przynoszą bimber, piją zapraszają. Tłumaczę, że jestem chory, ale „za pobiedu” muszę choć usta umoczyć..... Przychodzi w średnim wieku żołnierz, dziwi się, my jedni na całej wsi. Od samej Wisły pierwsi „grażdanie” jakich spotyka, gdzieśmy byli w czasie akcji? tutaj? tutaj cały czas? A to czyje dzieci? Wszystko Wasze? Patrzy, na twarzy jego widać zdziwienie, rozgląda się po izbie, wreszcie patrząc na dzieciaki, z pewnym namaszczeniem i głębokim przekonaniem „tolko oni was spasli” W umyśle tego człowieka nie mieści się widać, aby coś innego mogło nas uratować, przecież biła w to miejsce „Waniusza”... nasze piorunochrony i... Teraz rozumiem ten szumiący i wyjący dach nad nami – Waniusza. Znów robi mi się dziwnie, jak w wacie...

A polami jak okiem sięgnąć walą całe mrowia naszych wojsk, całe grupy, kolumny, zastępy, idą, idą, idą. Niosą na swoich ramionach zwycięstwo, na swoich butach niosą siłę, która miażdży Fryca, przepędza go.

Opowiadają nam, że zaraz za nimi idzie nasze polskie wojsko, że niosą nam wolność i wybawienie, niosą nam swobodę, niosą nam naszą konstytucję, niosą po latach oczekiwania – Polskę my wiemy, że niosą też i ... czy się cieszyć? Czy będziemy witać polskie wojska? Jedno jest pewne niosą nam zmiany, niosą nam przejściowy rozgardiasz, niosą nam chwilowe odprężenie. Za to, że mogliśmy wyjść z tej naszej piwnicy, jestem im wdzięczny, ale poza tym... Łabędzi śpiew.

Powietrze przeszywa świst pocisku, dzieci przerażone, biegniemy do naszej piwnicy, świst się powtarza, drugi, trzeci ... czyżby kontratak? Ale już teraz nie ma otworu od strony strzału. Piwnica naładowana wojskiem, bardzo skwapliwie robią nam miejsce, wyczuwa się, że mają dla nas dużo uznania, bo na całej prawie wsi my jedni jesteśmy z cywilów. Strzały milkną. Spece tłumaczą, że to się musiał tank przesuwac, ale już więcej nie zagada.

Zachodzą i Polacy z pod Baranowicz, z pod Pińska, ukradkiem mówią po polsku z nami, inaczej patrzą. Widać jednak, że jakieś siły pilnują tych „wolnych” ludzi. Rozmowa na uboczu jest jednak kontrolowana i niemile widziana...

Obchodzę okoliczne domy. Bergmanowscy pozostawili jednak trochę rzeczy, ściągamy je do naszej izby. Zdobyłem dwie duże poduszki tapczanowe, różne drobiazgi, trochę narzędzi, siekiery, łopaty. „Bajcy” pozwalają bo to Frica. Nie unikamy rozmów. Myślimy też o żołądku. Myszkuje po kwaterach, które znam, bo pisałem w nich przecież listy miłosne do dam serca „dobrowolców” i ściągamy stamtąd ponad metr kartofli, ładnych, doborowych, trochę razówki /która później okazała się otrębami/. Znajduję trochę różnych narzędzi. Dym wychodzący z naszego komina jest magnezem. Przez izbę przesuwają się ciągle różne typy, ale wszyscy są uprzejmi, nieszkodliwi, rozmowni. Zjawia się jakiś Wielki Zdobywca z dużym kuchennym budzikiem przywiązany do pasa sznurkiem. Nanę świerzbi język aby zapytać czy to bomba. Znajomość języka, atmosfera zwycięstwa, widoki na powrót do domu wprawiają i nas w lepszy humor, zaczynamy nawet żartować, znaczy się odprężamy. Jakiś młody i inteligentny kapitan wygłasza do nas, dowiedziawszy się, że jestem „juristom” dłuższe przemówienie okolicznościowe, na temat jakie teraz będzie nasze życie, o ile poprawi się teraz nasza sytuacja. Podziwiam tę właśnie łatwość przemówień, przypomina mi się Kazbek, jak opowiadał o swoim Juriku, że po powrocie ze szkoły wchodził na krzesło i „dzierzył riecz”.

W konkluzji uprzejmie pyta, czy pozwolimy, aby u nas zakwaterować dwóch oficerów, bo ludzie są przemęczeni a kwater mało. ...Ależ oczywiście Z dwóch robi się siedmiu, ale to nic. Przed sześciu laty byłoby nam nie swojo, w jednej izbie siedmiu obcych oficerów, Nana, dzieci. Dziś te obiekcje odpadły. Wieczorem powraca ów kapitan, prosi nas abyśmy się zupełnie nie krępowali i nie zmieniali swego trybu życia, że oni, żołnierze są przywykli do niewygód, nie wolno im jednak nic robić takiego, co by zakłócało spokój mieszkańców. W razie zaś najdrobniejszego incydentu, dać mu znać „to wsio won prognam”. Wyrażam głębokie przekonanie, że będzie wszystko w porządku, że sądząc po kulturze dowódcy jestem jak najlepszemu mniemaniu o formacji. Zamiana uśmiechów... dobranoc. Przynoszą pocztę, krótkie wiadomości z domu, nieodzwonne „priwiety”. „Bajcy” obsiadają nasz stół wokół i piszą listy w których donoszą o nowej „pobiedzie”, że już przeszli Wisłę a następny list napiszą z Berlina. Fric ucieka jak zajac. Pełno śmiechu i naigrywań. Niestety poczta polowa nie zabiera listów do terenów „za Bugiem”. Żołnierze-Polacy po cichu wspominają, że jakoś od swoich rodzin z Wilna, Baranowicz, Pińska nie otrzymują listów, tak jak ich koledzy z Urala czy Syberii. Ale zaraz tutaj będzie uruchomiona poczta cywilna, która nasz listy zabierze i umożliwi nam szybkie i pewne skomunikowanie się z Rodzinami, bo zaraz za pierwszą linią idą organizatorzy momentalnie zaprowadzający ład, kwestia paru dni. /Nasz list wysłany do Wilna w dniu 29.I.45 zwrócono nam w początkach sierpnia z adnotacją, że „adresat przed 20.VI.45 ujechał w Polszu, choć ujechał dla pewności w początkach lipca br. /

Lejtnanty, za naszym uprzejmym zezwoleniem przynoszą słomę, lokują się, pytają czy jeszcze potrzebne światło. Kultura... powoli zasypiają opowiadając

jeszcze dzieje dni ostatnich. Żadnego mostu nie było do przerzucenia przez Wisłę, żadnych dywizji nie rozbito im. Kawalerii /miała być rozbita cała dywizja/ w ogóle w akcji nie było. Sowieci zepchnęli broniących się Niemców na prawy brzeg Wisły, przeważnie wycinając w pień, a następnie wieczorem 15.I.45r. weszli na łód wiślany biorąc z sobą tylko lekkie działka, których nawet nie używali. Do północy przeszli do połowy Wisły, a rano koło 4-tej zaczęli wychodzić na lewy brzeg. Obrony tu prawie nie było. Pierwszy opór, słaby bardzo, był w Łominie, / o 2 km od nas /silniejszy u nas, na Palmirach, a później już nie było oporu. A co w Warszawie? Lada godzina padnie, może nawet już zajęta, ale nie ogłoszono. Dzień 16 stycznia 1945r. kończy się, pamiętny dzień, który mógł być dla nas ostatnim. Zmęczeni usypiamy.

Dni następne przeszły nam w oczekiwaniu wiadomości o zajęciu Warszawy, co umożliwiałoby nam powrót do domu. Do domu – o ile dom ten jest. Chciałem zaraz 17-go zbierać naszą chudobę, podsunąć się bliżej i w stosownej chwili zaraz być w domu. Nana przeciwstawiała się temu dowodząc, że jechać z dziećmi tak na niepewne nie można, że trzeba poczekać, że powinienem się wzmocnić. Ciągłe zmieniający się żołnierze również uważali, że lepiej się wstrzymać. Ustąpiłem, bo i wózek trzeba było inaczej skonstruować i sił nabrać no i rzeczywiście odczekać. Najrozsądniej było, żebym się najpierw sam wybrał, zbadał teren, a później sprowadził resztę. Nie chciałem się jednak rozdzielać. Byłem przygotowany, że naszego domu w ogóle nie ma, to też na wszelki wypadek układałem sobie, że może jednak któryś z domków ocalał, gdzie będziemy mogli się czasowo zatrzymać, aby odkopać swoje doły, jeśli tam coś jeszcze zostało, jeśli nie to może w podziemiach, no a w ostateczności to wiedziałem, że wzdłuż całej Wisły są tzw. bunkry, czyli ziemianki dla wojska, które były stawiane bardzo solidnie z podłogami, oknami, ścianami, więc zajęlibyśmy taki bunkier na razie. Jechać, za wszelką cenę jechać.

Jeszcze kilkudniową zwłokę poświęciłem na zbudowanie wózka lepszego, spakowaniu naszych resztek, przejrzeniu różnych dziur, czy się gdzieś czego nie zdobędzie. Od czasu do czasu zajeżdżali do nas „bajcy, na jedną dobę zatrzymali się u nas krawcy. Cechą ich charakterystyczną było to, że byli b.uprzejmi, chętnie dzielili się tym co mają, dużo gadali, opowiadali – ale roboty to im jakoś nie ubywało. W tym to okresie Nance wypadło być tłumaczem, gdyż dostał się do niewoli jakiś Francuz czy Alzarczyk, z którym nikt nie mógł się porozumieć, ostatecznie darowali mu życie, kazali odstawić do szpitala.

Pakowaliśmy się zbierając co się da, zdobyliśmy całe pudło zupy-wermacht, która później oddała nam usługi nieocenione. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że Warszawa zajęta i datę wyjazdu ustaliliśmy na 19 stycznia 1945r.raniutko t.j. w piątek.

Droga na Bielany 19 stycznia 1945 - wspomnienia Taty

W wyznaczonym dniu wstaliśmy jeszcze po ciemku. Dzień zapowiadał się ładny, ale wietrzny. Zaczęliśmy pakować nasze manatki na wózek, który był skonstruowany w ten sposób, że na platformie niskiej z dwu boków oparte były dwa arkusze dykty związane przewodnikiem i przykryte plandeką i kocem. W tą lukę ładowaliśmy nasz dobytek i dzieci robiło wrażenie budy cygańskiej. Niby nic nie mieliśmy ale jednak załadowane było: materac, około 1 metra kartofli, ze 30 kg. Żyta, trochę mąki, plecaki z resztkami bielizny, poduszki, patefon, rower, zupa, skrzynka narzędziowa, trochę różnych narzędzi, jak pił, siekier, wózek Juraska, nasz wierny towarzysz podróży, różne naczynia, garnki, trochę żywności no i dzieci. Rozłokowanie było takie, że bagaże zajmowały środek i tył wózka zaś z przodu po prawej stronie był wózek Jurasa, a po lewej na bagażach siedziały dziewczynki, otulone w co się tylko dało z pookrywanyymi w królicze skórki nóżkami. Jak spojrzałem na nasz wehikuł pomyślałem, gdzie on nas dowiezie i co z tego dowieziemy. Byłem dobrej myśli, że po asfalcie jakoś pójdzie, ale jednak bagaż nasz ważył z 500 kg. A siły były mocno nadwężone. Mała scysja z jakimś chłopakiem, który stanowczo rozpoznał swój kociół, zabrał go, oddanie ramy rowerowej sołtysowi, ostatnie oględziny, znak krzyża i ... w drogę. Do szosy pomagał nam trochę jakiś gospodarz. Nana b. sceptycznie patrzyła na to wszystko, twierdząc, że mowy nie ma aby to dowieźć, że wszystko trzeba będzie zrzucić, bo nie damy rady. Uparłem się. Musimy. Z początku krzyku było trochę bo Hania bała się każdego kołysania, piszczala ale z czasem uspokoiło się wszystko. Juras usnął. Dzień był śliczny, ja, nie mając praktyki, początkowo miałem trudności z kierowaniem wózkiem, ale po pewnym czasie posiadałem i tę znajomość, ciągnąłem, Nanka pchała z tyłu, po asfalcie wózek szedł lekko, równina szosy też nie nastęrczała przeszkód, ale – jak zawsze niespodziewanie – zjawiała się nowa przeszkoda i trudność. Była to – koza. Przekonaliśmy się namacalnie co takie bydle, taka uparta koza może narobić. Szła początkowo normalnie, z Nanką, ze mną, ale po wyjeździe na szosę, tak się zaczęła denerwować przejeżdżającymi autami, że z obawy o wywrócenie wózka nie mogłem jej prowadzić. Oddałem Nance i tu zaczęła się Jej /Nanki nie kozy/ gulgota. Ciągnęła Nankę pod każdy samochód, to uciekała w pole ciągnąc Ją. Początkowo Nana próbowała ja jakoś oswoić, wreszcie zaczęła bić. Ani jedno, ani drugie nie pomagało. Koza wyczyniała niesamowite harce doprowadzając nas do rozpacz. Nana była bez tchu, na mnie spadł ciężar ciągnięcia wózka. Byliśmy bardzo tym maltretowani i przybici, ale wyjścia nie było. Na dobitkę odezwały się Nany buty. Ba, żeby to były Jej buty, ale na drogę włożyła znalezione buty nie chcąc iść po śniegu w pantoflach. Zaczęła odczuwać ból u nasady palców. Narzekała, kuląła, ale szła. Minęliśmy drogę do Łominy, ten pamiętny punkt, kiedy to mnie zabrano do N.Dworu. Zdało mi się jeszcze, że dziewczynki stoją jak wtedy i płaczą. Mignęła mi skurczona, szara i zapłakana twarz Nanki. Tamto minęło. Żandarmów nie ma, wracamy do domu Posuwaliśmy się powoli wypatrując słupów kilometrowych, które przybliżały nas do celu. Ale słupy te, które tak szybko mijamy jadąc samochodem, teraz, gdy

się ciągnie wózek, jeden od drugiego słup jest o setki kilometrów. Zatrzymaliśmy się co kilometr odpoczywając krótko, nabierając sił na dalszą drogę. Po drodze mijaliśmy dużo trupów, przeważnie wojskowych, którzy zginęli z bronią w ręku. Śmierć ich bratała. Rosjanie koło Niemców. Mróz zeszywnił ich, leżeli skurczeni, jakby spali tuląc do siebie broń. Od czasu do czasu mijaly nas małe oddziały konwojujące jakichś cywilów. Nie wiedzieliśmy kogo prowadzą. Ludzie mówili że to folksdojcz. Szli młodzi chłopcy, ale kto to był nie wiemy. Cieszyliśmy się, że dzieci nie widzą tych trupów, okazało się, że Kika widziała wszystko, tylko nic nie mówiła.

Uszliśmy coś około 6 klm, do domu pozostało jeszcze ze 12. Dochodziło południe, o tym żeby w tym dniu dostać się do domu nie było co marzyć. Zatrzymaliśmy się na postój. W jakimś na pół rozwalonym domu, bez okien i drzwi, gdzie wiatr hulał i gasił kuchenkę spirytusową, a przed domem „na warcie” leżały 3 zwłoki żołnierskie. Odpoczywaliśmy, karmiąc trochę dzieci, którym przecież groziło zaziębienie, denerwując się na nie, dlaczego tak wolno jedzą, dlaczego się kręcą, dlaczego są dziećmi. Byliśmy zmęczeni, ale jeszcze trzymaliśmy się jakoś. Odpoczęliśmy nieco, posilili się chlebem i kawą, załadowali dzieciaki i pociągnęliśmy nasze ciężary. Nana kozę, ja wózek. Ale nie szło tak jak na pierwszym kilometrze. Było coraz ciężiej, słońce kryło się, wiatr wiał, niebo snuło się chmurami, nadchodził wieczór. Myśmy pchali nasz los i szliśmy do domu. Właśnie minęliśmy słup kilometrowy z cyfrą „13”, czyli od centrum Warszawy dzieliła nas taka odległość, wobec czego do domu pozostawało 8-9 klm.. Na wprost nas szła b. duża kolumna wojskowa. Sami Polacy t.zn. armia polska przetykana tu i ówdzie oficerami pełniącymi funkcje Polaków. Czoło kolumny idącej od Warszawy na Modlin minęło nas, szli czwórkami zajmując prawie połowę szosy. Jak przez cały dzień, tak i teraz mijalo nas dość dużo różnego typu samochodów jadących w obu kierunkach. W pewnym momencie, przy zjeżdżaniu w bok poczułem, że dyszel jakoś luźno się rusza. Zatrzymaliśmy się dla sprawdzenia. Okazało się, że pod naporem ciężaru na tył wózka spojenie dyszla po środku oderwało się. Wprawdzie nie zupełnie, ale ledwie się trzymało, sam dyszel nasadą był przybity do osi, a w 1/3 swej długości do spodu platformy i to miejsce właśnie rozluźniło się. Wytworzyła się taka sytuacja, że nie mogłem się ruszyć z miejsca, bo wszystko by runęło. Nanka podtrzymywała wózek z tyłu żeby nie osiadł a ja wyjąłem podręczne narzędzia chcąc jakoś umocować go, zjechać w bok i poprawić. Staliśmy na samej burcie asfaltu. Gdy przystąpiłem do naprawy, między nas i kolumnę wjechało duże auto transportowe, które przeszło szczęśliwie, ale holowało ono na dość długiej linii drugą maszynę. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem maskę tej drugiej maszyny, skurczoną od wysiłku twarz jej szofera i zdałem sobie sprawę, że to wszystko wali wprost na nas i ten wysiłek szofera pójdzie na nic. Zrobiłem krok w kierunku wózka nie wiedząc po co, ale zdając sobie tylko sprawę, że tam cała nasza trójka a za wózkiem Nana. Sekunda, że nawet nie zdążyłem krzyknąć i usłyszałem suchy trzask, dyszel wyrwało mi z ręki, cały

wózek wykonał bardzo śmieszny skok w tył i – płacz dzieci. Wsluchałem się w ten płacz, usłyszałem trzy głosy, znaczy wszyscy żyli. Za chwilę ujrzałem z za wózka przestraszoną twarz Nanki. Skoczyłem do desek, chcąc jak najszybciej dostać się do wnętrza, aby zobaczyć czy bachorom nic się nie stało, ale dykty były mocno związane o oboje z Naną nie mogliśmy, tak od razu je uwolnić. Przechodzący żołnierze pomogli nam. Za kilka minut wyciągnęliśmy dzieci. Szczęśliwie nic się im nie stało, ale bardzo były przerażone tym wypadkiem. Okazało się, że z powodu uderzenia samochodu o ośkę naszego wózka, został on przeważony w tył, siłą uderzenia dzieci zostały wyrzucone ze swoich miejsc i rzucone na bagaże leżące na tyle. Obrażeń żadnych nie odniosły, ale były bardzo przerażone, zwłaszcza Hania, która patrzyła swymi oczętami przerażonego zwierzątka i nie wiedziała właściwie o co chodzi. Nana – nie wiadomo czym powodowana, zdążyła odskoczyć, dzięki czemu uniknęła przygniecenia wózkiem. Wyciągnąłem poduszkę, usadziłem dziewczynki w rowie, Nana jakoś ich otuliła i tak siedziały płacząc i trzęsąc się z chłodu i strachu. Stanęliśmy nad wózkiem. Był „w proszku”. Deski oderwane, dyszel urwany, wszystek bagaż zmieszany, o reperacji na miejscu nie mogło być mowy, zresztą, reperacja, ponowne załadowanie zajęłyby tyle czasu, że nie zdążylibyśmy tego zrobić do późnej nocy.

Poszła więc Nana z Jurkiem na rękę szukać jakiegoś schronienia. Ale ludzie, choć w tej miejscowości / na szczęście wypadek miał miejsce we wsi nazwy której nie mogę sobie przypomnieć/ sami przeszli wysiedlenie i tułaczkę i dopiero powracali do swych domów, nie nauczyli się jeszcze obowiązku podania ręki innym. Nie wzruszały ich dzieci, to nie miało znaczenia. Ciasno jest samym, więc nie przyjmą. Nanka przyszła bardzo zrezygnowana, zmęczona, przybita, łzy płynęły po Jej twarzy. Była rozgoryczona i bardzo, bardzo smutna. Za dużo na jedne barki. Poszedłem szukać dalej. Na szczęście lepiej trafiłem, bo jakiś jegomość, który sam niedawno wrócił z wędrówki i nie wiedział jeszcze co się dzieje z jego rodziną, pozwolił nam przenocować. Rozpocząłem więc wózkiem Jurka zwozić nasz dobytek do niego. Znowu wypadek. Hania nie mogła iść więc posadziłem ją na wierzch wózka, spadła mi dwukrotnie rozcinając sobie wargę do krwi. Szły więc dziewczynki same. Jeszcze dziś serce mi krwawi, jak sobie przypomnę ich wygląd. Coś rozdzierającego. W tych swoich starych paletkach, nóżki owinięte w skóry, które się odwijały, zawinięte na główki w jakieś szaliki, Kika okryta kocem – jedyne najwłaściwsze określenie – dziadowskie dzieci. Buzie zapłakane, Hanka umazana krwią, usta drżące, przerażone, zapędzone, nic nie rozumiejące. A my? My byliśmy już u kresu naszych sił fizycznych i nerwowych. Zamiast otoczyć je największą czułością i pieśczętą krzyczeliśmy na nie, że coś nie tak robią, a one nie wiedziały, nie rozumiały czego od nich chcemy. Jadąc z tą pierwszą turą, ledwie ciągnąc nogami, szamocząc się z wiatrem i płakałem nad nimi i krzychałem. Na te dziecinne, wątłe ramionka Kiki wkładaliśmy ciężar najstarszej córki, opiekunki reszty, pod którym ramionka te ugiwały się, omal łamały. Miała dopiero sześć

lat. Przeciągnęliśmy naprawdę z płaczem nasz dobytek, gospodarz zajął się dziećmi. Koza robiła wrażenie, że zaraz zdechnie. Na naszą prośbę gospodarz zarznął ją i do późna w noc oprawialiśmy bydlę. Wreszcie Nana z dziećmi a ja z nimi pokładliśmy się spać, konstatając, że w całej tej historii zginął nam koc p.Róży. Nie pomogły szukania, koca nie było. Został nam tylko jeden. Raniutko zmontowałem wózek, załadowaliśmy i w piękny sobotni ranek słoneczny, po lekkim jeszcze przymrozku ruszyliśmy dalej. Nana uwolniona od kozy pchała wózek. Dzieci pospały się, a myśmy pchali licząc kroki zrobione i do zrobienia. Gospodarz ugościł nas jakąś zupą i kawą na drogę, ale chleba nie mieliśmy. Zaczęły się pagórki, droga to opadała w dół, to podnosiła się, dożynając nas i wyciągając resztki sił. Co kilometr robiliśmy krótkie postoje, co 3 klm. dłuższe, z siadaniem i odpoczynkiem, ale później musieliśmy się częściej zatrzymywać, gdyż bez odpoczynku nie mogliśmy przepchnąć kilometra.

Noga Niny zaczęła Jej dokuczać co raz bardziej. Jak szła to przyzwyczajala się do bólu, ale po każdym postoju pierwsze kroki były udręczeniem. Szła dzielnie, zacinając zęby, czasem sykając, kiedy twarda skóra buta zbyt boleśnie uwierała w bolące miejsce. Mijaliśmy wsie, kilometry pokazywały, że coraz bliżej dom, dom czy miejsce domu? Szliśmy, Mama cierpiąc i pchając, ja ciągnąc. Ale niektóre górki były bardzo ciężkie, zabrały nam pewno część naszego życia. Gdy się wjechało na taki szczyt, to serca wprost wyskakiwały z piersi, a płuca nie mogły złapać oddechu, i jeszcze lód, goły, śliski, po którym buty jeżdżą, nie mogąc się oprzeć, nie daje oporu, uniemożliwia ruszenie lub jazdę, a samochody jak opętane jeżdżą, nie patrząc, że to wózek ręczny, że tam dzieci. Mamy świeżo w pamięci wczorajszy wypadek, zjeżdżamy na burty, to utrudnia ciągnięcie po grudzie. Raz czy dwa razy pomogli nam uproszeni przechodnie wciągając wózek pod górkę, a ludzi szło dużo, ale każdy szedł szukać zdobyczy, szli z pustymi rękoma, z workami, wracali obładowani różnymi sprzętami, może naszymi, może sąsiadów. Kto pierwszy ten lepszy, nie weźmie Paweł to weźmie Gawel. I w myśl tej mądrej maksymy brali ludzie co mogli, co się dało. Brali, zdobywali, ale broń Boże nie kradli. Wozy spotykaliśmy załadowane, teraz wojna – zdobycz wojenna. Buraków, Łomianki - Młociny coraz bliżej. Już widać zakręt na szosie, już dojeżdżamy do cmentarza włoskiego, tutaj przecież na spaceru już przychodziliśmy, to tak już blisko, że tylko rękę wyciągnąć. Ale żołądek domaga się o swoje prawa. Jeść, jeść za wszelką cenę, bo stanę. Nanka prosi jakiegoś rowerzysty, czy nie ma kawałka chleba. Oddaje swoją porcję jasnego chleba z mięsem. Bóg zapłać. Jakaś kobieta oddaje nam skibkę suchego chleba. Oszukujemy głód. Dzielimy się z dziećmi i dalej. Bliskość domu, piękna pogoda, oszukanie głodu lepiej nas usposabia. Jedziemy raźniej, zaczynamy planować, jak to będzie w domu, gdy zauważamy w poprzek szosy zwaloną topolę. Samochody objeżdżają ją przez lotnisko. Podchodną bliżej, „Miny”, jechać nie można, objazd przez lotnisko, badam sytuację, trzeba naddać z kilometr po łące, po różnych wertepach. Zjeżdżamy, ale już po kilku krokach przekonywuję się, że mowy nie ma i sił nie

starczy i Hanka tak krzyczy przy każdym pochyleniu wózka. Chcę jechać na przelaj przez lasek. Nana nie godzi się stanowczo. Lasek cały zaminowany. Prosimy przejeżdżających furmanów o przewiezienie lub przeciągnięcie nas, zapłacimy. Gdzie tam, nie ma czasu, lupy mogą inni zabrać. Wreszcie Nanka uprosiła jakiegoś człowieka. Gdy się zgodził, rozplakała się. Czego Pani płacze? On może nie zdawał sobie sprawy co przez tę duszę i serce przeszło przez lata wojny, okupacji, poniewierki, strachu i tego powrotu. Czego płacze? Czy można krótko odpowiedzieć na to pytanie? Jest ktoś kto chce pomóc. Czy to nie powód? Nana z dziećmi siedzi na wozie, ja na tyle trzymam nasz dyszel i tak jedziemy. Mijamy przeszkodę, szosą do bielańskiej drogi, do tej drogi, którą tyle set, jeśli nie tysięcy razy przemierzaliśmy razem lub osobno, do tej drogi, po której w sobotę dnia 23 września 1944r. o godzinie 8 wieczór szliśmy z dwoma wózkami, kozą, z drepczącą przy nas dzielną Kruszyńką, szliśmy pod eskortą zbrojną, szliśmy w nieznaną. Obóz, rozdzielenie, wywózka, karabiny maszynowe ... dziś też sobota, słońce cudnie świeci – wracamy. Wracamy z Dąbrowy, z „Raju” z Palmir, z Burakowa, z Nowego Dworu, wracamy z pod kul, z palmirskiej piwnicy, wracamy wszyscy, wracamy żywi i nie okaleczeni, wracamy mając nawet trochę produktów, czyż to nie cud? Czy to nie znak, ale namacalny. Dowód Opieki? ... Była godz. 14.00.

Bielany 20 stycznia 1945 – wspomnienia Taty

Pierwszą spotkaną na terenie Klasztoru osobą jest dr.Flakowicz. Wita się z Naną. Sentymentalna scena i pokropiona łzami. „Zbychu, p. doktor chce się z Tobą przywitać”. Witamy się, bez wylewności, ale po tym co było, to taka drobnostka. Z dala widzę Br. Kazimierza. Też dziś ściągnął tutaj z kilku braćmi. Serdecznie, gorąco witamy się. Już wróciło trochę mieszkańców. Boczkusowa już nawet ma doprowadzone do porządku okna. Nana z dziećmi idzie do jadalni pań, tam trochę cieplej. Dostaje trochę zupy dla siebie i dzieci, ale wszędzie zastrzeżenia „a z czego tu państwo żyć będą?” Najgorzej z jedzeniem. Uspakaja ich Nana, że jakoś damy sobie radę, że cudzego nie chcemy. Wojna robi swoje. Zanim napelnisz cudzy żołądek, myśl o swoim. Tak, to ważne.

Nasz domek? Bez szyb, bez drzwi, piwnica otwarta, doły odkopane, w mieszkaniu całe stosy podartych papierów, gruzu, na wierzchu nie ma nic wartościowszego, już się tym zaopiekowano. W ogródku, w błocie i śniegu walają się moje książki, te książki, które tak lubilem dziś szczerzą strzępy zdeptane w błocie. W ogródku Nanki kaktusy sterczą kikutami suchych łodyg. Nasze listy całymi paczkami rozrzucone. Jeden tylko nasz dołek ocalał. Było tam trochę wódki, trochę cukru, złoto, trochę szkła stołowego, jeden garnek aluminiowy, trochę zabawek /układanki/. Oglądamy to wszystko, ale noc nadchodzi, gdzie się podziać? Boczkusowa oddaje nam jedno łóżko. Znoszę

nasze dobro do naszego domku. Pod wieczór zjeżdżają K.. Przyjechały wozem i koniem. Skąd go wzięły, nie wiadomo. Ale teraz tak nas mało obchodzi, oschle „dzień dobry” i nic więcej. Nic nie chcemy, żadnych wspomnień, żadnego zbliżenia. Wszystko jakoś rozłokowane. Nana czuje się bardzo źle, ma gorączkę, noga dokucza mocno. Ledwie sobie radzi z dziećmi, cierpi mocno. Ja jestem już zupełnie wyczerpany. Okazuję za częste zdenerwowanie i szorstkość, ale, ale ja już nie mam siły. Usypiamy, przed zaśnięciem przypomina mi się „a jednak my na 23 będziemy na Bielanach”. Ironicznie uśmiechnięta twarz Kazbeka, półuśmiechy K.. Niepoprawny optymista. „tut mucha nie proletit”....

----- „ -----

Niedziela 21 stycznia 1945r. Zapominamy, że to święto, przez czas tułaczki, tak odwykło się od obserwowania niedziel, w które trzeba było i pracować i nie zawsze była możliwość pomodlić się. Idę do naszego domku od samego rana, jeszcze ciemno. Trudno coś robić tak od razu, wszystkie szyby wybite, drzwi nie ma, przejście do wnętrza zawałone gruzem po kolana, trzeba chodzić jakoś po tym, żeby móc dostać się do środka. Idę na poszukiwanie szyb. Z ocalałych okien w komórce, z sąsiednich domów, skąd się daje, ściągam kawałki szkła, znoszę do domu, łatam, zabijam otwory, gdzie można przybijam dyktę. W którymś domku znajduję skarb, cała rama okienna zimowa i oszklona. Jak złodziej ściągam ją do domu, mniejszy nasz pokój jest dzięki temu jakoś zabezpieczony, w większym połatam szyby. Mróz chwyta za palce, na szczęście znajduję w naszym mieszkaniu trochę goździków, więc mam czym pracować. Nana coś pitrasi u Antoniowej, ale czuje się bardzo źle. Noga dokucza, puchnie, boli, nie może się ruszyć, czuje gorączkę. Wpadam tylko na chwilę, coś niby zjeść i robię wyprawę do bunkrów. Bóg łaskaw, okazuje się, że teren cały był zaminowany, że było później tam szereg wypadków śmiertelnych, a ja chodziłem po tych bunkrach, znalazłem tam jedną naszą półeczkę, znalazłem jeden bok z naszej szafy, znalazłem drzwi Modzelewskiego. Rozgrabili to, co ocalało od bomb i pocisków, wynieśli wszystko. Szukam kuchenki. Niestety nic nie ma. Już ci co przyszli wcześniej wynieśli te łakome kaski. Spotykam Brata Kazimierza, mówię mu o swym kłopotcie. Użycza mi pięknej, dużej, dwufajerkowej kozy z zakładu. Jestem mu szczerze wdzięczny, bo rozwiązuje to problem przeprowadzki. Jakaś futryna idzie na opał, mieszkanie zaczyna się jakby nagrzewać, ale nie ma drzwi. Przejście między pokojami zawieszam plandeką i zastawiam dyktą, w futryny drzwi do sieni wstawiam jakieś drzwi z trudem przytargane ze szpitalika, ale za wysokie. Wymiatam śmiecie do pierwszego pokoju i przenosimy się do siebie. Nana ledwie się rusza. Ma gorączkę, jest do niczego niezdolna. Ileż ja wtedy razy okazałem Jej swoje niezadowolenie, ałem już naprawdę na „pysk padał”, a o wszystkich trzeba pomyśleć. Po wodę aż do źródelka trzeba iść, ściągnąć drzewa, porąbać, wyrzucać śmiecie, przejrzeć czy coś nie ocalało wartościowego, zając się dziećmi, które są zaniedbane,

przepychane, zmęczone, zziębnięte, głodne, a Nana kompletnie chora. Oglądamy nogę, obrzękła, ślimaczy się, silne zaczerwienienie, zachodzi obawa zakażenia. Do wszelkich trosk i trudów dochodzi zdenerwowanie, co to będzie. o pomocy nie ma co mówić. Jedno jest dobrze, że jesteśmy nareszcie u siebie, w swoich czterech ścianach. Z naszych rzeczy ocalał, ocalało łóżeczko Jurka, no i może coś jeszcze, co jest pod gruzami. Niespodziewane odwiedziny Ks. Gnatowskiego, który zaraz po przyjeździe zainteresował się naszym losem. Przyniósł dla dzieci trochę sucharków, pogadaliśmy, dowiedział się na pewno, że na żadną pomoc lekarską nie można liczyć. Zostaliśmy sami. Jakoś uporządziwszy się z grubszą, rozlokowaliśmy się na noc. Noc długa, zimowa, ciężka. Na szczęście mieliśmy w podręcznej apteczce antistreptinę, ceratkę, bandażę, więc zaczęliśmy paść Nanę pastylkami i bez przerwy kompresy pod ceratką. Dni płynęły szybko. Nana leżąc na tapczanie usiłowała coś robić, kierując Kiką, która / jak to przeszło do historii rodziny miała w tym czasie gotować sama obiady i karmić nas wszystkich / ja porządkowałem mieszkanie wyciągając różne rzeczy z pod gruzów, z ogródka, skąd się dało. Po kilku dniach stan zdrowia Nany zaczął się polepszać, mogła wreszcie wstać i wtedy zaczęła mi pomagać w porządkowaniu rzeczy. Odnalazłem nasz budzik rozbity, ale wszystkie części, odnalazłem w piwnicy fotografię Ojca, cały szereg różnych rzeczy. Przesiewałem przez palce gruz, oczyszczając domek, wylapując co się dawało. Nana ,porządkowała wewnątrz, doprowadzała do porządku dzieci, myła, czyściła, gdy wróciła do zdrowia zaczęła tępić myszy, które po dawnemu nas żarły. W dniu 25 stycznia zainstalowały się u nas p.Modzelewska z córką. Ich gajówka była rozbita, więc przygarnęliśmy je. Mieszkały u nas kilka dni, pomagając Nance, zwłaszcza w okresie choroby. Przyjechał też Ks.P., ale ani on, ani Ks.B. nie okazywali nam zainteresowania. Strach abyśmy nie zostali na wikcie klasztoru ustosunkowywał Ich b. chłodno. A myśmy musieli odetchnąć po przejściach, zebrać się do gromady, ocalić, co ocalało i zacząć szukać jakiegoś wyjścia. Juras zakończył rok życia, Nana zapomniała o swoich imieninach, bo choć „obchodziła” je wg mej prognozy na Bielanych, ale to było takie inne życie, takie dziwne, że o takich rzeczach zapominało się zupełnie. I tak w tym codziennym kieracie wyrywania resztek naszej chudoby, porządkowania i obmyślania co robić dalej płynęły dni. Nasza sytuacja była b. kiepska. Mieliśmy wprawdzie przywiezione kartofle, jakąś mąkę, to i owo, ale po pierwsze, że to się kończyło, a co gorsza nie mieliśmy pieniędzy, ale gdybyśmy je nawet i mieli, to w związku z wymianą, nie moglibyśmy z nimi nic zrobić. Na ile sobie przypominam posiadałem coś około 400.-zł. z tej sumy jaką wyniosłem z Warszawy i to było wszystko. Cały nasz majątek. Poratował nas Modzelewski 5 główkami kapusty, później trochę marchwi, ale to nie rozwiązywało sprawy. Dlatego też należało zrobić wypad do Warszawy. A proste to nie było. Życie wówczas całe koncentrowało się na Pradze. Czy jest tam ktoś ze znajomych nie miałem pojęcia, dostać się tam było trudno bo mosty zerwane, a przez prowizoryczne nie zawsze puszczano i nie wszystkich. Nic więc dziwnego,

że wymarsz swój odkładałem z dnia na dzień, bo nie wiedziałem jak długo moja podróż potrwa. A tu i śniegi spadły i droga ciężka i komunikacji żadnej. Wreszcie 8 lutego 1945r. rano wzięwszy plecak, załadowawszy go w trochę chleba udałem się do Warszawy. Czy do Warszawy? To była Warszawa, to było miastem. Gdy wchodziłem 2.X.1939r w ulice Pragi od strony Zielonki, szedłem jak otumaniony i coś dławiło mnie w gardle, a było to niczem wobec tego, com teraz zobaczył wzdłuż Żoliborza,, Długiej, Leszna, Marszałkowskiej. Te rumowiska sterczące bez szyb, puste, zawałone ulice, pustka, tylko sylwetki myszujące po rumowiskach. Okręgowy, Apelacyjny, Najwyższy – gruz. To cośmy przez cały czas otaczali opieką i troską, akta personalne, księgi hipoteczne, sprawy – wiatr dmąc roznosił i nurzał w kałużach błota i rozjeżdżonego śniegu. Na Miodowej schyliłem się uderzony widokiem jakiejś karty tak znanej mi z wyglądu. Wykaz hipoteczny, dokument otaczany specjalną troską i specjalną opieką, w błocie. Wziąłem z zamiarem schowania, może się komuś przyda. Ale gdy zobaczyłem odarte z grzbietów skórzanych księgi hipoteki miejskiej, zrozumiałem, że to nie wojna i nie pociski tego dokonała dzieła. To nasz warszawski motłoch brał skórę, niszcząc to, co dziesiątki lat przechowywano, historię Warszawy, prawa, majątek, ale to było oprawne w skórę. Rzuciłem i ten wykaz. Nie miało sensu go ocalać. Na środku Miodowej leżał wzdłuż ulicy samolot angielski – pomoc dla Powstańców. Wszędzie kupy popiołu, swąd spalenizny, gruz, wyboje, wyrwy, zwaliska – pobojuwisko. Przed mostem miałem pierwsze zetknięcie z N.K.W.D. Wnikliwa indagacja, gdzie, skąd, po co, dlaczego. Wreszcie jestem na Pradze. Właściwie to jedno targowisko. Handluje się wszystkim i wszyscy. Rzeczy, żywność, ubranie, narzędzia. Ciżba ludzi, krzyki, gwałt, popychanie, masa samochodów, wojsko. Niby życie normalne, ale ta atmosfera, ta gorączka, to życie wszystkich na ulicy, to takie dziwne. Praga o wiele mniej zniszczona, ale tak przeludniona, że nie można przejść swobodnie. Na Targowej na drzwiach zastaję kartkę dość oryginalną ; "mieszkanie już obrabowane". Drzwi zamknięte, nie wiem czy ktoś z nich żyje. Idę do Biernackich. Wszyscy na miejscu. Przyjmują mnie b. serdecznie. Tam też lokuje się Marychna i Zosia. Wróciły nie dawno pieszo aż z Radomia. Też miały ciężkie przejścia i trudności. Mieszkanie mało zniszczone, część mebli ocalała, część uratowali Biernaccy. Idę szukać znajomych. Bendychowie w Pruszkowie, Deptuła wywieziony, ona w Lublinie z dziećmi. Mój zarząd na Waszyngtona obsadzony przez Zarząd Miejski, nastawienie lokatorów niezycliwe. Nocuję u Biernackich. Sąd się dopiero formuje, wszystko obcy ludzie, zastanawiam się co dalej robić ze sobą. Biernaccy, jako że w gromadzie układają jakieś interesy, kręcą się. Wypytyuję o ceny, są zastraszające, mleko 35.-zł litr, mąka pszenna 110.-, manna 180, krakowska 160, masło 400.-, ser biały 180.-. A ja mam wszystkiego 400.-zł. które mi Marychna przez kogoś wymieniła 100 za 100. Sprzedałem 1 ltr. wódki za 500zł. Marychna wręczyła mi 100 zł. na mleko dla dzieci i to jest wszystko. 1000.-zł. to cały nasz kapitał, a na jak długo? Do kiedy ma nam to wystarczyć?

Skąd wziąć pieniędzy na dalszy okres. To były pytania na które na próżno szukałem odpowiedzi zasypiając u Biernackich. Wieczorem, Marychna widząc Moje ubóstwo odzieżowe i podarte spodnie, podarowała mi swoje spodnie, niby narciarskie, uszyte z koca, spodnie w których przez długi czas paradowałem jako w eleganckich w porównaniu z mymi dotychczasowymi. Prócz tego dała 2 kamizelki. Z jednej później Babcia uszyła Jureczkowi palto, a druga-taka okrywajka Babci Natalki w której następnie Jurek mókł stojąc w wózku. Dla Nanki otrzymałem spódniczkę, jakieś dwie pelerynki, zieloną wiatrówkę, która Nance później oddała ogromne usługi, no i jeszcze Betolzan, witowit, a Biernaccy – 2 kaftaniki dla Jurasa. Radość była wielka z tych darów, gdy je przyniosłem do domu, a były to wszystko, prócz wiatrówki, których nikt by dawniej z nas nie włożył. A teraz? Teraz były to skarby. Wartość ich wzrosła jeszcze, gdy po kilku dniach zjawiała się Pani Róża /17.II.45/ i oddaliśmy Jej to wszystko, co z jej rzeczy ocaliliśmy. A więc i paltko z którego Kika korzystała i kołnierz, i palto Jej, które ja nosiłem, należało zastąpić innym przyodziewem, i to się przydało. Widoki były nie różowe. Wogóle nie bardzo mogłem sobie ułożyć przyszłość. Sytuacja była b. skomplikowana, bo pracę jak nie w sądzie, to w Starostwie albo w Zarządzie Miejskim mogłem otrzymać, ale jak rozwiązać kwestię mieszkania. Chodzić codziennie taki kawał-wykluczone. Znaleźć mieszkanie w Warszawie nie możliwe. Zamieszkać na Pradze- to trzeba by remontować drugi pokój. Przeciętne wynagrodzenie urzędnicze w tym czasie wynosiło około 1500-2000 zł. o wiele za mało, żeby żyć w tyle osób, przy tych cenach, a zając się czymś dodatkowo – z powodu odległości wykluczone. Wogóle ta koncepcja odpadała. Utrzymanie się w adwokaturze, nie miałem egzaminu, nie mogłem prowadzić kancelarii, znaleźć patrona, słowem wszystko było przeciw Warszawie. No i Bielany, pomijając odległość pozostawała kwestia zasadnicza. Księża byli b. powściągliwi, z dawnej serdeczności nie zostało nic, lub prawie nic. Konwencjonalna uprzejmość, bo jednak egoizm był wielki, a nuż wypadnie dzielić się czymś i coś oddać cudzym dzieciom kosztem swoim. Zaczęła kielkować myśl wyjazdu, przynajmniej mego, znalezienia jakiejś pracy i zabrania ich. Ale jak się ruszyć nie mając pieniędzy, jak ich zostawić bez niczego, no i trzeba było dokładnie przejrzyć gruz. Może jeszcze się coś odratuje. Moje książki wyglądały okropnie, a wiedziałem, że to jest dla mnie tak ważne, bo to mój warsztat. Zacząłem więc je zabezpieczać, znosić, suszyć, od czasu do czasu robiłem wypady do Warszawy wyciągając co się dawało z tego działu, dźwigając na plecach zdobycz, bo liczyłem się ile będzie z tym trudności i przewidywałem słusznie.. Idąc za dawną myślą, zdecydowałem się jechać do Lublina i tam starać się do sądownictwa lub adwokatury. Ks. Marian miał tam znajomych, więc przez te S. Stanisławę może coś dałoby się zrobić. A na razie, z powodu bólu nogi i chłódów odkładałem wyjazd z dnia na dzień, bo po oddaniu płaszcza Róży została mi tylko wiatrówka, marynarka i letni płaszcz. Z konieczności przyjmowaliśmy też wsparcie Modzelewskich, którzy w różnych terminach ofiarowali nam koszyk kartofli, kilo cebuli,

następnie 30 kg. Kartofli, które sam musiałem przywieźć z Młocin, pamiętam jak w niedzielny dzień 11 lutego 1945r. wiozłem te 30 kg. Kartofli niczym jakiś skarb, a w każdym razie jako prawie jedyne nasze pożywienie na najbliższy okres, urozmaicone jedynie Wehrmachtupą. Dalej do tego obciążenia naszego rachunku przybyło jeszcze trochę tytoniu, około 2 kg. Marchwi, jeszcze koszyk kartofli, 2 kg. chleba, 1 kubek cukru i to zdaje się wszystko, ach jeszcze parę główek kapusty.

Dalsze stosunki z Nimi ułożyły się ni jak. Zaglądała od czasu do czasu Irena, czasem Nana tam zaszła, później Nana sprzedała mu piłę, na której przypuszczam, że zarobił, choć wiedział, na co nam potrzebna, wycygał ode mnie piecyk żelazny, tak, że suma sumarum uważam, że jesteśmy na remis, zresztą, tak nas mało wiązało i wiąże, że są to jedni z tych przelotnych znajomych, którzy przeszli obok nas, trochę przy nas korzystając, a trochę my przy nich. W dniu 13.II.45 zaproponował nam Ks. P., czy by nie urządziło nas przeprowadzenie się na południową stronę naszego domku. Po zastanowieniu się i nie wiedząc co nas czeka i jak się życie ułoży zdecydowaliśmy się na to, tym bardziej, że Zakład dawał szyby do okien. Zaraz więc wzięliśmy się do roboty i do dnia 16 lutego dokonaliśmy dzieła przeprowadzki. W małym pokoiku urządziliśmy niby kuchnię z tą kozą żelazną, w pierwszym dużym – tapczan, skrzynie, stolik z bunkrów no i resztki fortuny. Robiłem też porządek w piwnicach, w gruzach chcąc jakoś uporządkować nasze rzeczy i wiedzieć czy jeszcze coś z resztek mamy. 18.II.45r. byłem na pierwszym zebraniu komitetu domowego pod przewodnictwem Ks. P. Stale myślałem o wyjeździe, ale przed tym jeszcze chciałem wybadać te sprawy w Warszawie, zrobiłem też jeszcze jeden wypad, ale wynikiem jego było stwierdzenie, że ceny poszły w górę, że wszędzie panuje ciemnota, że żydzi opanowali najważniejsze placówki, no i najważniejsze, że natarłem sobie nogę i to uniemożliwia mi ruszanie się w najbliższych dniach. A dn. 19 bezpośrednio, a 21 lutego przez Klasztor otrzymaliśmy listy od Rodziców Charczunów, pierwszy znak, że żyją i że są - w Lublinie. Jest to też pierwsza wiadomość od naszych najbliższych, a więc nie zostaliśmy tacy zupełnie sami, jest też jeszcze ktoś z nami.

Dnia 24.II.1945r. w sobotę, koło godz. 3 pp zmobilizowawszy co się dało gotówki i trochę żywności na drogę, udałem się do Lublina. Nana z dziećmi pozostała na Bielanach. Ile czasu jechałem i w jakich warunkach zupełnie nie pamiętam. Pamiętam jedynie, że w Lublinie znalazłem się coś koło 3 w nocy, a ponieważ godzina policyjna obowiązywała do 5 więc siedziałem na dworcu. Pamiętam, że byłem b. zmęczony i nie mogłem się powstrzymać od drzemania. Wielka też była radość gdy zastukałem do Rodziców podnosząc ich z łóżek.

Łzy, pytania, opowieści, wrażenia, sześć lat, całe długie sześć lat. Jureczek, a mamy Jureczka, właśnie skończył rok i miesiąc, a Wyście nic o tym istnieniu nie wiedzieli. Nic o nas nie wiedzieli od roku przeszło. Wojna. Wspomnienia...

Te kilka dni pobytu było nieprzerwanym pytaniem o wszystko, o najdrobniejsze szczegóły, o życie, o przeżycie, o lata 1939 – 1945r. Stosunek tak serdeczny, tak

masło - 20.-
 bułka - 20.-
 palnik - 10.-
 dług za kartki – 10.-

- Zaczynają obierać 2 palce, kompres
- Magluję bieliznę

1 marca - Palce bolą, idzie zakażenie, idzie.
 - Bardzo już długo niema Tatusia

2 marca - Całą noc wiatrzysko silne, rano także, prócz tego zawieja śnieżna,
 jak Zbych będzie wracał. Drzewo się kończy.

3 marca - Od dziś spodziewamy się Zbycha, muszę szykować drzewo,
 ręce obie bolą, kartofli mało.

6 marca - Idę na drogę

7 marca - Zbych na Pradze
 - Karta od Jurka
 - Matka /?/ p.Józia koz.

8 marca - mróz, śnieg ciągle pruszy, Zbyszek nie wrócił.

25 marca - Zbych wyjechał, odprowadziłam go do szosy, wyszedł 3,49 pp.
 - Dziś wiecz. nic specjalnie nie robiłam, idę wcześniej spać,
 wypoczynek. Po odprow. byłam z Jurkiem, Kr. H. na spacerze

26 marca - Śliczny dzień, myślę jak jedzie Zb. Jurek na dworze spał.
 - Prof. Rąbał drzewo, wodę, chleb.
 - Kąpię Jurka.
 - Długo siedziałam, reperowałam płaszczyk. Ktoś laził po ogródku.

- 27 marca - *Myszę, że Zbych w Lublinie. Prof. niezdrów, zaniósłam kawy, przyniosłam mu wody, ma przyjść na noc.*
- *Dzieci cały dzień na dworze.*
- *Jutro mam sprzedać piłę za 600.-*
- 28 marca - *prof. nocował.*
- *Piorę paltka, koc.*
- *Przewiozłam żyto, tylko przemleć.*
- 29 marca - *Strasznie się martwię, cukru ani ksztyny, mąka się kończy, piły nie wziął, nie wiem co będzie, prof. chleb i ma przyjść p.Juta.*
- *Żyto przemellam, zaniósłam upiec c-ca 5 kg.*
- *Myszę, że Zbych nie zdąży przyjechać.*
- 30 marca - *Deszcz, dzieci w domu, uśpię Jurka i idę do sklepu, może nic nie spsocą.*
- *Byłam w sklepie, wszystko szczęśliwie.*
- 31 marca - *poświęciliśmy jajeczko, może wróci Tatuś.*
- *Zbych wrócił o 5-ej wiecz.*
- 1 kwietnia - */Wpis Taty/ Jeśli nie przyjadę, to składam Wam wszystkim życzenia Świąteczne i bądźcie dobrej myśli, a Nanka niech się nie martwi i nie smuci. Zbych...*
- 6 kwietnia - *Zbych wyjechał o 9-ej rano*
- *Ks.Bołtuć odwiedzi. p.Dyr. oglądać mieszk.*
- *p.Didk. krawiec. p.Doktor.*
- 7 kwietnia - *p.Juta nocuje.*
- 8 kwietnia - *W nocy silny nalot na W-wę. Dzieci b. przeżyły, ja też.*
- *Dzisiaj serce niespokojne. Tłuszczu nie można dostać.*
- *Przyjechała p.Didk. Dr.Fl. cięty.*

- 9 kwietnia - *p.Didk. przywiozła dzieciom maselko.*
- *Czuję się źle, katar rozbiera, nie mogę nic zrobić.*
- *Napisałam list do Zb. p.D. jutro wyszle.*
- 10 kwietnia - *List wysłany do Zbycha. Czuję się źle, biorę motop.*
- *Kupiłam chleba 2 kg. I białego trochę.*
- *Ks.Gnatowski wrócił, przywiózł metryczkę ślubu.*
- *p.gospodyni przyniosła mleczko i powiedziała, żeby co dzień przychodzić z butelką – bezpłatnie.*
- 11 kwietnia - *Kika wstała po śniadaniu. Dr.Fl – spirytus.*
- 12 kwietnia - *Krychna niegrzecznie do Mamusi się odzywa.*
- *Jurek bez apetytu.*
- *Zamaczam bieliznę.*
- 13 kwietnia - *Dziś minął tydzień jak Zbycha niema, tęskno nam bardzo, kto wie, może jutro przyjedzie*
- *Krychna zdrowsza.*
- *Dziś duże pranie, wszystkich łachmanów, jutro wykończę.*
- *p.Juta też u mnie pierze, przyniosła 6 jaj.*
- 14 kwietnia- *List od Jurka. Suszę bieliznę, zimno bardzo i silny wiatr, jeśli Zbych jedzie, będzie miał złą drogę.*
- *Kąpiel dzieci.*
- 15 kwietnia - *Marychna i Zosia. List od Zbycha.*
- 16 kwietnia - *Piecyk tak dymi, że chyba się uwędzimy.*
- 18 kwietnia - *Zjadamy resztkę zapasów.*
- *Zmęliśmy z p.Walą mąkę.*

19 kwietnia - *Dziś 2 tyg. Jak Zbych wyjechał, a dotąd po nas nie jedzie.*
Może jutro przyjedzie po nas lub do nas – a może jeszcze dziś.
 - *List i sweter od Babci.*
 - *Chleb mamy, choć niezbyt udany.*

21 kwietnia - *List od Mamusi.*
 5 luty
 15 marzec
 21 kwiecień

22 kwietnia - *Zbycha niema, może w tych dniach po nas wobec tego przyjedzie.*
 - *Ks.Marian.*
 - *Olej kupiłam*
 - *Ks.Gnatowski, p.Juta*

23 kwietnia - *Imieniny Jureczka i Jurka.*
 - *Krychna dla Hani niedobra.*
 - *Wysłałam list do Jurka z życzeniami. P.J /?/*

24 kwietnia - *piorę bieliznę. Trzymam się nerwowo resztkami sił, to oczekiwanie Zbycha i furmanek jest okropne.*

26 kwietnia - */Wpis Taty/ Przyjechał zabrać wszystkich.*
 - *Wyjazd samoch. Do B-G przyjechaliśmy koło godz.16.00*

Wyjaśnienia :

Dzieciom i Wnukom czytającym te wspomnienia – wyjaśniam :

1. *Po upadku powstania, całą ludność Bielan – wysiedlono. Naszą rodzinę i kilka innych mieszkających w Klasztorze OO.Marianów, jedynie z podręcznym bagażem, pieszo – skierowano do Palmir.*

2. *Palmiry – to tragiczne miejsce odległe 25 km od Warszawy / 18 km od Bielan /, gdzie tuż za wsią, Niemcy rozstrzelali, grzebiąc w zbiorowych mogiłach ponad dwa tysiące Warszawiaków, po upadku Powstania. Rodzice widzieli codzienne transporty, słyszeli strzały egzekucji ...*

3. *Opisana przez Tatę bitwa z dnia 16 stycznia 1944r., której linia ognia przebiegała nad „naszym domem”, to ostatni bój cofającego się odwodowego oddziału „własowców” tj. żołnierzy rosyjskich walczących po stronie niemieckiej, dowodzonych przez gruzińskiego kniazia płk. Kazbeka, podległego niemieckiemu oberlejtnantowi Bagerowi --- z oddziałem Armii Czerwonej.*

Powyższą wiedzę o „własowcach” przekazali nam Rodzice na podstawie własnych przeżyć i doświadczeń ale wśród historyków pojawiają się opinie, że „własowców” w Warszawie w ogóle nie było, bowiem po aresztowaniu gen .A. Własowa 12.07.1942r. - jego formacje rozpadły się, a w Warszawie przeciwko powstańcom walczyły: Pułk Szturmowy RONA /Rosyjskiej Narodowej Armii Wyzwoleńczej” w liczbie ok.10.000 dowodzony przez mjr .J.Frołowa, oraz pułk SS Oskara Dirlewangera. W obu oddziałach niemal połowę stanowili żołnierze z krajów ZSRR, których powszechnie, a niesłusznie, nazywano „własowcami” Możliwe, że byli wśród nich również dawni „własowcy”.

4. *Bunkry, o których wspomina Tato / str.29 /, to zespół niemieckich umocnień zbudowanych na Bielanach w czasie okupacji tzw. Obóz Leśny /Waldlager/, którego pozostałości istnieją do dzisiaj.*